

Józef Szymański  
Metryka Kielecczyny

Henryk Czarnecki  
Cień przyrośnięty do muru

„Ziemia i Pleśń”

Bronisław Rędziach  
Rekrut

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

# Kamena

LUBLIN 15.I.1967 Nr 1 (358) XXXIV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## RADZIEŻ WŁASNEGO ŻYCIA

### IERZY DOSTATNI

**Z**ACZEŁO się od zwykłej prelekcji, przeszło przez wielką burzę, a skończyło na niczym. Na niczym? Tylko formalnie, bo merytorycznie z kanału należy wyciągnąć smutne wnioski. Ale po kolei.

Zostałem zaproszony do wygłoszenia prelekcji dla ok. 50 nauczycieli wykorzystaniu prasy w pracy nauczycielskiej. Po prelekcji dyskusja szybko zoczyła na pretensje, głoszone pod adresem całej prasy (określenie), a szczególnie lubelskiej, że nie tylko źle o nauczycielach, wydłużymy jakieś umiarkowane, a w ogóle obniżacie autorytet nauczycieli. Pozwiliłem odpowiedzieć, że podobnego tonu nie mówią lekarze, adwokaci, prawnicy, inżynierzy, rad narodowych, budowlanki, którzy pracują w przemyśle, w wojsku, w urzędach, w codziennych i periodycznych sprawach tylko same prasy. Kto po pewnym czasie przeczytał taką prasę, a przede wszystkim, nie pisarzy tylko, ale i nawet więcej dobrze, ale nie pamięta się, o dobrych wspomina. Gdy zaś w naszym kraju do tego dalsza dyskusja prowadzi także na sprawę chuligaństwa, to nie sposób powiedzieć, że wcale nie mała odpowiedzialność za wzrastającą liczbę złośliwych nieletnich ponosi szkoła.

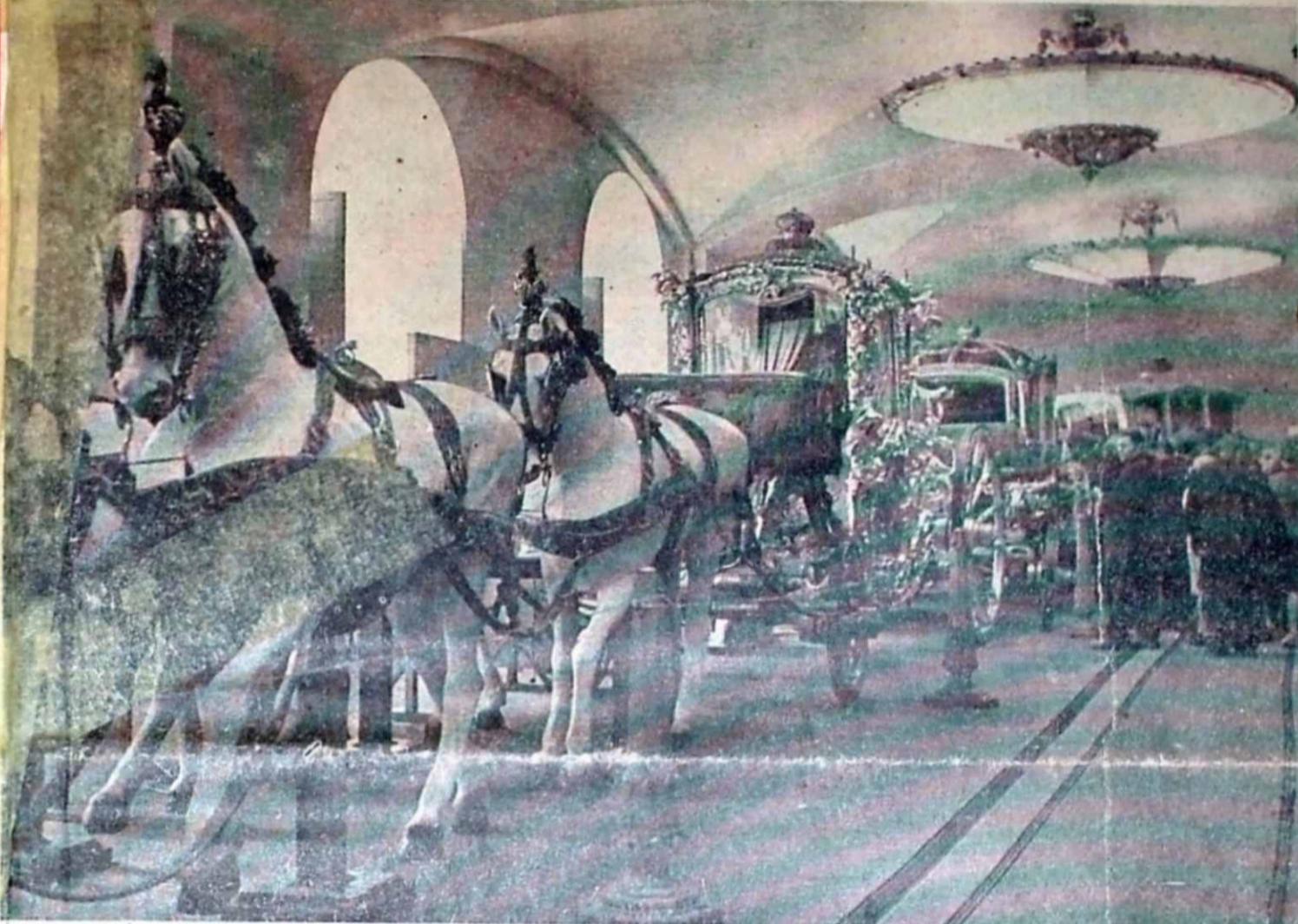
Tu zrobiła się prawdziwa burza. Nie dość mocno kontrowersyjny poglądów oświadczyłem: zaprzam wszystkich obecnych do reakcji „Kamena” na dyskusję w sprawie odpowiedzialności szkoły i innych podmiotów za owe przestępstwa nieletnich. Uczestnikom na zdanie warantuję pełną anonimowość i jednocześnie lojalne przedstawienie ich poglądów — nawet jeśli reakcja jako całość lub jej odcienie tymi poglądami czy opiniami nie będziemy się zgadzać. Ku ogólnemu zadowoleniu umówiliśmy się na grudnia o godz. 17.

Na umówiony termin przygotowałem w redakcji dodatkowe krzesła i kawę. Czekaliśmy ponad pół godziny — nie przyszedł nikt. Do redakcji przyjechało 50 osób, które ma podjąć ciężar stanowiska, który nie jest, ale społeczeństwo — w praktyce dla 50 pedagogów okazał się nieważny. Dlaczego? Nie rozumiem, o co chodzi. W każdym razie nie można powiedzieć, że strasza polityka, która służy za wychowanie młodego pokolenia ponoszą polską część odpowiedzialności.

Tymczasem faktem jest, że zjawisko przestępczości wśród nieletnich jest, jak chcą niektórzy, zagrożeniem moralnego dzieci i młodzieży naszego kraju. Mówią o tym liczby, dotychczasowe dziennikarstwo przez Ministerstwo Sprawiedliwości i Komisję Główną MO, a także liczby, zgłaszane przez przedstawicieli Komendy Wojewódzkiej MO w Lublinie na zebraniach związków zawodowych.

Wielka z nich. Najpierw te ogólne dane. Podczas gdy w r. 1960 było 28,24 przestępstw na 1000 mieszkańców, to w roku 1965 już 32,4. Trzeba tu jednak dodać, że w tym czasie nastąpiła fala przestępstw z narastającą fałszywością.

(Dokończenie na str. 6)



W końcu ub. r. grupa polskich fotoreporterów przebywała kilkanaście dni w Związku Radzieckim. Plon wyprawy był bardzo obfity. Oto jedno ze zdjęć Jana Trembeckiego, fotoreportera „Kurier Lubelski”: zabytkowe karety w muzeum kremlowskim.

## Na marginesie apelu do pana ministra

**A**LARMISTYCZNY ton artykułu Kazimierza Górskiego „I co pan na to — panie ministrze” („Kamena” nr 21 z 1966 r.) przyjąłem z dużymi wątpliwościami. W „Ruchu Pedagogicznym” pisano już kilkakrotnie, że, podobnie do wypowiedzi utniów ob. Górskiego, a półtora roku temu J. Wiatrowski przedstawiał wyniki badań przydatności absolwentów techników przemysłowo-pedagogicznych i zawierające propozycje podniesienia rangi tego zakładu kształcenia nauczycieli do stopnia przynajmniej 3 stopnia nauczycielskiego. Sekcja Szkolnictwa Zawodowego przy Zarządzie Okręgu ZNP w Lublinie także postanowiła zwrócić się do Ministerstwa Oświaty o podniesienie rangi TPP do stopnia szkoły wyższej. Mówiono o tym również na krajowej konferencji przedstawicieli szkół tego typu, zorganizowanej w grudniu ub. r. w Lublinie.

ale żalami a nowy statut TPP obowiązuje. Zbierając materiał do dyskusji, sięgnąłem do artykułu b. ministra dr inż. Michała Godlewskiego pt. „Podstawowe kierunki reformy szkolnictwa zawodowego” („Ruch Pedagogiczny”, 1966, nr 4). W artykule tym jednak o kształceniu nauczycieli dla zasadniczych szkół zawodowych nie ma ani słowa. Jak można wnosić z za-

kończenia artykułu „za wcześniej jeszcze na prezentowanie ostatecznych rozwiązań programowych poszczególnych dziedzin szkolnictwa zawodowego”.

Podobne stanowisko zajęła Sejmowa Komisja Oświaty i Nauki oraz Prezydium Zarządu Głównego ZNP w dyskusji przeprowadzonej

### ZYGMUNT BOWNIK

w maju ub. r., przyjmując jasnowe rozwiązanie: kształcenie nauczycieli zasadniczych szkół zawodowych w TPP i SN. W takich warunkach powstał obowiązujący obecnie i atakowany przez ob. Górskiego i jego uczniów statut TPP.

Trudno uznać TPP za szkołę zreformowaną, bo statut obecny nie jest lepszy niż poprzedni, wypracowany jeszcze w 1954 r. przez b. Centralny Urząd Szkolnictwa Zawodowego. Co ważniejsze — jak wiem z autopsji, bo zwiedzałem niedawno pierwowzór TPP — Instytutno-Pedagogicznej Technikum w Leningradzie — obowiązek należy, że przy postanowieniach obecnego statutu TPP nie osiągniemy poziomu naukowego i wychowawczego cryginału radzieckiego.

Na statucie TPP ciąży piętno tymczasowości, bowiem mówił się,

że ta forma kształcenia przewidziana jest mniej więcej do roku 1975, a więc jeszcze 9 lat. Taka koncepcja nie oznacza włączenia TPP do reformy szkolnictwa zawodowego, lecz postawienie go na marginesie niepracowanej koncepcji. Kto tu ponosi winę? Wydaje się, że autorem statutu zabrakło kompetentnej rady, co było wynikiem wyłączenia TPP z Departamentu Szkolnictwa Zawodowego, a podporządkowanie go Departamentowi Kształcenia Nauczycieli. W ten sposób TPP straciło uprzywilejowane stanowisko w szkolnictwie zawodowym, a znalazło się na szarym końcu zainteresowań Departamentu KN.

Wypada się też zgodzić z ob. Górskim, że obecna sytuacja TPP deprecjonuje zasadnicze szkoły zawodowe, sprowadzając je do poziomu zawodowych przedszkoli, skoro — według zdania autorów statutu TPP — wystarczy, aby nauczyciele zawodu i przedmiotów zawodowych mieli tylko średnie wykształcenie zawodowe, gdy dla nauczycieli szkół podstawowych ogólnokształcących postuluje się wykształcenie przynajmniej półwyższe. Takie stanowisko jest niezgodne z rewolucją przemysłowo-techniczną, jakiej jesteśmy świadkami, ani też nie liczy się z potrzebami cywilizacji przemysłowo-technicznej, o których mówił na

(Dokończenie na str. 8)

ALICJA  
JĘDRZEJEWSKA

## I drzewa też nie ma

Jeszcze niedawno ledwie ręką sięgnąć szumiał korona układała głowę w ramionach innych koron Jeszcze niedawno promień żywiczny ze wspólnej masy słońca szył wrażliwość zieleni Jeszcze przed chwilą drzenie burzy elektrycznym zryżnięciem pedziło od złotego listka do korzeni brodatych i to wszystko będąc radością i lękiem zarazem przyjmował las tysiące drzew obok siebie stojących prosto kiedy cisza nawiedza gadających gdy wiatr liście popłazuje

Ktoś oczy zawiązał patrzącemu Ktoś uszy zatkął chcącemu słyszeć Ktoś chciał dzieje odwrócić I dlatego w tej jednej ocalalej ciszy w jednym drzewie co zostało nie ma szumu nie ma ciszy i drzewa też nie ma

Warszawa

# Zobaczył na własne oczy

**R**ZAD Wietnamskiej Republiki Demokratycznej udzielił wizy HARRISONOWI Salizbury'emu, długoletniemu korespondentowi „NEW YORK TIMES”, laureatowi nagrody Pulitzera z 1956 r. Na łamach tego pisma Salizbury zamieszcza pierwsze relacje z Północnym Wietnamem.

Autor stwierdza, że w kościołach katolickich Hanoi tradycyjna Pasterka celebrowana była o północy. Już od wczesnych godzin wieczornych tłumy zbierały się przed katedrą św. Józefa. Fasada katedry była oświetlona setkami żarówek, a główny na placu przed katedrą udokorowany północnowietnamski czarnymi flagami.

Mimo tych świątecznych przejawów „nastrój w Hanoi odpowiadał znacznie bardziej miastu zaabsorbowanemu wojną. Na ulicach były rzędy jednoosobowych schronów przeciwbombowych, rozmieszczonych w odległości dziesięć stóp jeden od drugiego”.

Pisząc o oszczędnych bombardowaniach amerykańskich sił Wietnamu Północnego Salizbury stwierdza: „Wbrew wrażeń stworzonymu przez komunikaty

Stanów Zjednoczonych, inspekcja dokonana na miejscu wskazywała na bombardowania amerykańskie spowodowały znaczne straty w Hanoi i jego okolicy.

13 grudnia około trzystu i domów z cegły wzdłuż Czerwonej Rzeki, w odległości 1/4 od ulicy Pho Nguyen Thing tej samej odległości od „Thonghat”, zostało uszkodzonych. Obszar ten o kwadracie 200X700 jardów był zrównany ziemią przez wybuchy i pożary.

W innej relacji Salizbury pisze o zniszczeniu w trzecim wojennym wietnamskim Wietnamie Północnego, Dinh. Zostały tu zniszczone wyniki wznowionych najeżdż amerykańskich bloków po bliźki domy mieszkalne. Miało to być systematycznie atakiem przez bombowce VII Floty USA, począwszy od 25 czerwca 1965 r.

„Ludność miasta z 90 zmniejszyła się wskutek ewakuacji do 20 tys. 13 procent mieszkalnych mieszkań, zostało zniszczonych 89 osób zginęło, 405 zostało rannych. Fabryka tekstylna była bombardowana 19 razy, lecz pracuje nadal w wielkiej trudności”.

# Na jakich tradycjach?

W grudniowym zeszycie tygodnika teoretycznego KC SED (Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności) „EINHEIT” ukazał się artykuł ministra obrony ludowej NRD, Heinza Hoffmanna pt. „Tradycja Narodowej Armii Ludowej NRD”.

Stwierdzając, że istnieją w zasadnicze typy tradycji — bojowej i wstecznej — Hoffmann podkreśla, że Narodowa Armia Ludowa NRD kontynuuje przeżyte wszystkim wojsko tradycje niemieckiej klasy robotniczej. Autor artykułu wspomina o bohaterach walczących na barikadach 18 marca 1848 r. w Berlinie, żołnierzach uczestniczących w 1849 r. w walce o prężność konstytucyjną w Niemczech, uczestnikach powstania w cesarskiej flocie morskiej latem 1917 r., marynarzach Kilonii walczących w listopadzie 1918 r., zbrojnych formacjach robotniczych istniejących w okresie powojennego kryzysu rewolucyjnego, obrońcach Monachijskiej Republiki Rad, czerwonej armii Ruhry, środkowoniemieckich batalionach robotniczych biorących udział w walkach w marcu 1921 r. i 1922 r., grupach bojowych powstania homburskiego oraz plutonach proletariackich w Saksonii i Turynii. Hoffmann przypomina także bojowników z Roter Frontkämpferbund i uzbrojone grupy oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Tradycje solidarności międzynarodowej ucieleśniają m. in. ochotnicy niemieckiej armii

czarowej w latach 1917—1918 i 1941—1945 oraz niemieckie członkowie brygad międzynarodowych w Hiszpanii a także w miasteczku antyfaszyści biorący udział w ruchu partyzanckim ZSRR, Polaki, Czechosłowacy, Jugosłowacy, Grecji i Francji.

Tradycje NAL obejmują nie tylko militarne tradycje klasy robotniczej, lecz także tradycje innych armii w historii Niemiec, które walczyły o wyzwolenie z rąk niemieckiego spod uciążliwych narodowego lub społecznego Hoffmanna wymienia tu przykładowo wojska chłopackie z 1813 i ich przywódców, landwehr pruską i legion rosyjsko — niemiecki walczący przeciwko Napoleonowi oraz nazwiaka Schorhorsta, Gneisenaua, Bluechera Clausewitza, którzy byli, jak stwierdza, wybitnymi patriotami i wojskowymi.

Różne formy pielęgnowania tradycji w NAL, np. przez zwyczaj szkor, koszar i oddziałów wzmianki wybitnych osobistości i spotkania z weteranami robotniczego, uroczyste składanie przysięgi, uroczyste obchody rocznic jak 150-lecie Bitwy Narodów pod Lipskiem, 20-lecie utworzenia narodowego konfliktu „Wolne Niemcy”, 30-lecie zorganizowania międzynarodowych brygad w Hiszpanii, 10-lecie powstania NAL, przyczyniają się do uświadomienia żołnierzy w historii wojska niemieckiego i istniejącej linii postępowej, odróżnieniu od reakcyjnych tradycji, które istniały jako organ państwa opartego na przemocy i wrogu.

# Jewtuszenko w USA

Znany poeta radziecki Jewtuszenko odwiedził w USA „LITERATURNĄ GAZETĘ” w numerze z 24 ub. m. zamieszcza na temat jego pobytu w USA informację korespondenta radzieckiego w Nowym Jorku ALEKSANDRA DRUZYNSA. Pisze on:

„19 grudnia odbył się w Nowym Jorku ostatni przed wyjazdem ze Stanów Zjednoczonych wieczór autorski Eugeniusza Jewtuszenki. Jedną z największych sal nowojorskich — Lincoln Center wypełniona była po brzegi.

Poeta radziecki spędził w Stanach Zjednoczonych przeszło siedem tygodni. Recytował on swoje wiersze na zebraniach studentów i wykładowców największych uniwersytetów USA — w Berkeley, Princeton, Buffalo, Chicago, w San Francisco, w Domu Poezji w Nowym Jorku w Bibliotece Kongresu USA w Waszyngtonie, w Klubie „Międzynarodowego Forum Poezji” w Pittsburgu.

Prasa amerykańska uważa, że pod względem liczby słuchaczy obecnych na wieczorach poezji

w Stanach Zjednoczonych poeci radzieckimi udało się być wszelkie rekordy.

Wieczory autorskie Jewtuszenki kołowały się za siebie ten sposób, że z miejsc zadawano mu pytania, a recytację wiesz wypełniały długie rozmowy ze słuchaczami na temat interesujących ich Amerykanów, mianowicie życia i twórczości dziecka. Nie zaoferowano pytania, były pytania i pytania. Ten ów starał się swoim pytaniem znaleźć ciekawość i zainteresowanie do zwykłym dla propagandy amerykańskiej Jewtuszenko zawsze udzielał w próbach naderżniętych odpawiać.

Trzy zbiorki wierszy Jewtuszenki zostały przetłumaczone na język angielski. Obejrzałem je w wietnamskich amerykańskich księgarni, a jedno z największych wydawnictwo amerykańskie „Doubleday” przygotowuje do druku poemat „Bracka Elektryka w Wodno”.

Dzienniki i czasopisma amerykańskie dużo miejsca poświęcały pobytowi Eugeniusza Jewtuszenki w Stanach Zjednoczonych

Wrociesławski ma marginesie swoich wierszów postępkich w USA: „Cieszą się, że tyła Amerykanów po raz pierwszy słuchano poezji radzieckiej. Było to audytorium bardzo wrażliwe”.

KC Włoskiej Partii Komunistycznej powołał biuro prasy, na którego czele stanął Giancarlo Pajetta. Równocześnie zmieniono redaktorów naczelnych „Rinascite”, „Unità” z włoskiej i „Unity” niemieckiej.

Najstarszy dziennik angielski „Times” stał się własnością kanadyjskiego króla prasy Jorda Thomsona of Fleet, który posiada już 49 dzienników i periodyków w różnych państwach.

6-letnia Tazewer Shemza, z pochodzenia Iranka, z obywatelstwem Anglii, sprzedała za 29 funtów pocztę angielską nr. 1, który znaczka pocztowego, przedstawiającego jednego z trzech królów. Znaczek stał się bestsellerem wśród znawców plastyki.

Michel Peyramaure, laureat tegorocznej francuskiej „Nagrody trzynastu”, chce napisać powieść o przeżyciu Alp przez Hannibala. Aby lepiej poznać się z realiami, pragnie wydzierżawić słońca i na jego płecach przebyć góry.

# Film

Dopiero po 1 latach wchodzi na nasze ekrany „Pogarda” według powieści Alberta Moravii. Twórcą jest uznany już za klasyka Jean-Luc Godard. Jest to jego pierwszy film na polskich ekranach. W roli głównej Brigitte Bardot, która tu po raz pierwszy okazała się wielką aktorką. Już po ukończeniu filmu na żądanie producenta (Carlo Ponti) dokrecono kilka scen z rozbraną Bli.

Jeżeli wierzyć naszym zespołom filmowym, w tym roku zobaczymy co najmniej 22 prapremiery polskich filmów. Z tego tylko dwa współreżyserowane: „Chudy i jony” reż. Henryka Kluby i „Jowita” reż. Janusza Morgensterna.

W paryskim Gaumont-Palace odbyła się premiera „Wojny i pokoju” Sergiusza Bondaruczaka w skróconej wersji francuskiej. Całość można równocześnie oglądać (w wersji oryginalnej) w Kinopanoramie.

Filmowcy Indii pobili swoje dawne rekordy: w 1966 r. wyprodukowali 332 filmy (w 16 językach). W 1965 r. „tylko” 291.

Wyjątki z wywiadów. — Martine Carol: „Nie jestem zadrosna, ale jeżeli mój mąż (czwarty) spojry na inną kobietę, natychmiast go rzuca”. Monica Vitti: „Gdy pada deszcz mogę mówić tylko po włosku, francuski i angielski grzeźno mi w gardło”. Ema Turner przed zawarciem świątecznego małżeństwa: „I pomyśleć, że chciałam przez całe życie być dziewczyną”. Carol Baker: „Techniki miłosnej naucej się, sie podpatrując mój ją kotkę, gdy robiła toaletę”. Jeanne Moreau: „Spotkanie się dwóje aż przed kamerą nie znaczy nic więcej, niż spotkanie się dwóch spojrzem w życiu”.

Billy Frick, b. kłown cyrków angielskich, zagrał znakomicie rolę Hitlera w filmie francuskim „Paris brûle-t-il?”. Jest on tak podobny do b. fuszera, że otrzymał już propozycje na dwa dalsze filmy o nim.

Podczas gdy w Moskwie Tatiana Samojłowa gra rolę Anny Kareniny, reżyser włoski Mauro Bolognini także chce przenieść na ekran dzieło Tolstoja. Z Giną Lollobrigida.

W Algierii rozpoczęto nakręcanie filmu według powieści Alberta Camusa „Cudzoziemiec”. Reżyseruje Luciano Visconti, grają Marcello Mastroianni i Anna Karina.



19-letnia Suzanna Foster zadebiutowała w małej roli w Hollywood w takim właśnie „stroju”. Nie dziwnego, że zainteresował się nią sam Sinatra — senior.

# UWAGA!

Prosimy o podanie adresów niżej wymienionych autorów krytyki prace zostały zamieszczone w „Kamieniu” w ub. F. lem przesłana załączonych honorarów:

Aleksander Barszczewski, Irena Dowgielewicz, Jerzy Czesak, Olgierd Łożek, Adam Muszyński, Jan Magiera, Jan Śliadowski, Eugeniusz Szulbowski, Krystyna Solowska, Wiktor Szwed, Roman Tołsta, Edward Żółtyński.

dwor” Moniuszki, „Kobal Igor” Borodina i „Carmen” Bizeta, w próbach baliet Rostkekiego „Fan Twardowski”.

Repertuar moskiewskiego Teatru Wielkiego obejmuje obecnie 33 opery i balety. Repertory bije „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego — 1300 spektakli od prapremiery w 1811 r. „Jeziorno łabędzie” ma ponad tysiąc spektakli, balet „Fenianna Bachczyseraj” — pięćset.

W Berlinie w obecności Waltera Ulbrichta otwarto ponownie operę państwową. Koszt budowy nowego budynku wyniósł 34 mln marek (zamiast przewidzianych 16 mln). Opera kieruje znów 65-letni Walter Felsenstein, z urodzenia wiedeńczyk.

# Muzyka

19-letni student PWSM w Gdańsku Konstanty Kulka zdobył I nagrodę w silnie obsadzonym i dobrze notowanym Międzynarodowym Konkursie Muzycznym w Monachium (skrzypce). Recenzje były znakomite, młody skrzypka został już zaproszony na tournée do Włoch i Szwajcarii.

Paweł Kiecki, muzyk polskiego pochodzenia, został (od nowego sezonu) dyrygentem orkiestry symfonicznej radia szwajcarskiego.

W wieku 78 lat zmarł w Meksyku kompozytor Jurij Szaporin. Obok wielu utworów symfonicznych napisał operę „Dekabrysty”, której prapremiera odbyła się w Moskwie w 1933 r.

# Polonica

Grudniowy numer norweskiego miesięcznika teatralnego „Teatrets Teori og Teknikk” zamieścił artykuł Eugena Barby o Witkacym i francuskim teatrologu Antoine Artaud. Autor pisze, że obaj są dziś źródłem inspiracji dla najważniejszych teatrologów świata, obaj są wizjonerami, którzy „przemawiali i działali sami osamotnieni w swym odrzuceniu wszelkich kompromisów, gotowi do ponoszenia krańcowych konsekwencji”.

Na wystawie historii polskiej nauki i techniki w Chicago uwagę zwracały dwie rzeźby plastyków z Warszawy: Kopernika dłuta Leona Machowskiego oraz M. Carls-Skłodowskiej, dzieła Jerzego Chojnackiego.

Czechosłowackie wydawnictwo „Nasze wojsko” wydało encyklopedyczną pracę polskich autorów „Druha wojna światowa 1939—1945”. W Darmstadtzie ukazał się zbiór wierszy Adama Ważyka „Barwy czasu” (przekład Karol Dedeckus). „Inostrannaja Literatura” opublikowała nowelę Korneja Filipowicza „Ogród pana Nietzsche” w przekładzie W. Bojrowskiej.

Iraacka fundacja Gulbenkian zakupiła do swoich zbiorów obraz prof. Romana Artymowskiego, który w ramach polsko-irackiej umowy kulturalnej prowadzi w bagdadzkiej ASP założoną przez siebie pracownię grafiki artystycznej.

Aż trzy polskie imprezy filmowe odbyły się w grudniu w Belgradzie. Pokazano m. in. „Rekieska znaleziona w Sarajewie”, „Walkower”, „Lena”, „Popiół i diament” oraz filmy krótkometrażowe.

Występowali od listopada w ZSRR zespół estradowy (m. in. Katarzyna Boveri, Bogdan Łuzko, Bolesław Gronicki) cieszący się tak wielkim powodzeniem, że kontrakt przedłużono do marca.

# Różne

Po remoncie budynku otwarto znów Muzeum Sztuki w Łodzi. Posiada ono zbiorogłówny w Polsce dział obcej sztuki nowoczesnej. Prowadzi g. tyłk. malarsztwo oraz XX—XVIII w. i malarsztwo polskie z XVIII—XX wieku.

W kamieniołomach w miejscowości Kłtina na Dolnym Śląsku odkryto jaskinie, w których — jak przytoczyła archeologowie i antropologowie — można znaleźć szczątki człowieka z epoki kamiennej, najstarszej fazy dziejów kultury ludzkiej. Dotychczas szczątków człowieka z tego okresu w Polsce nie znaleziono.

Łódzki ośrodek telewizyjny obchodził (jako drugi po Warszawie) dziesięciolecie. Nadano z niego ok. 130 spektakli teatralnych, 9) programów rozrywkowych i wiele innych.

Od 18 lat Płockie Towarzystwo Naukowe, przy współpracy Zakładu Językowskiego Polskiej Akademii Nauk, zajmuje się badaniem gwar mazowieckich. Chodzi o Mazowsze w historycznych granicach z XVI w. W wyniku powstania 6-tomowy atlas gwar mazowieckich, wyda go „Ossolineum”. Pierwszy tom w 1968 r.

Z okazji „Dnia poezji” w ZSRR „Literaturnaja Gazeta” zamieściła wywiady z kilku poetami. Paweł Antokolski napisał m. in.: „O planach na przyszłość (trudni) mi mówić nie bardzo wypada. Doświadczenie ubiegłych lat uczy starego poeie (ma 78 lat — przyp. red.) aby się za bardzo wtajemniczać czytelników w swe plany, gdyż rzadko się realizują”. Andrzej



# Literatura

„Crytełnik” zapowiada na rok bież. wydanie przeszło 200 tytułów o łącznym nakładzie ponad 3 mln egzemplarzy. Z polskiej literatury współczesnej ukaza się m. in. książki K. Brandysa, B. Czeski, M. Dąbrowskiej („Przygody człowieka myślącego”), J. Iwaszkiewicza (tom nowych opowiadań), M. Kuncewiczowej („Tristan 1948”), S. Lema (powieść fantastyczna), J. Putramenta, J. Zawilczyńskiego („Konrad nie chce zejść ze sceny”), Z. Porezji m. in. wiersze J. Iwaszkiewicza i Zb. Herberta oraz liryki J. Brachwy.

„Chcę stworzyć ikony współczesne, różne technika, syntezą i iracją od dawnych ikon religijnych” — twierdzi malarz słowacki Fero Kral.

Graika dla historyków sztuki: we Francji ukazała się książka „Noa Noa” — zawierająca autentyczne i nieznanie teksty oraz rysunki Gauguina z okresu pobytu na Tahiti.

Nakładem paryskiego wydawnictwa Payot ukazał się osiemnasty z kolei tom „Historii sztuki”. Jest on poświęcony sztuce amerykańskiej, rodzinie i importowanemu.



Głowa starej kobiety w formie dżbanu — pochodząca sprzed 3 tysięcy lat, znaleziona w środkowej części Peru. Ekspонат znajduje się w muzeum antropologii w Limie.

W ciągu ostatnich 20 lat wydawnictwa radzieckie opublikowały prawie 5 tys. tytułów książek autorów francuskich. Łączny nakład 100 mln egzemplarzy.

Masza Rotnikas, która w Wilnie przeżyła getto, a potem obóz w Stutthofie, autorka słynnego dziennika, pisarza na workach od cementu, była gościem wydawcy francuskiego, który wydał tłumaczenie książki na 19 z kolei język. Autorka wyznała, że nie znosi materiałów w paski, krzyków i reflektorów. Obecnie pisuje humoreski.

J. P. Sartre wystąpił do sądu o wydanie zakazu granicy kilku jego dawniejszych sztuk, które — jego zdaniem — nie odpowiadają obecnym warunkom.

W 1965 r. wydano we Francji 228 mln egzemplarzy książek, z tego 62,5 mln „kieszonkowych” i 26,5 mln kryminałów policyjno-spiegowskich. Zmniejszyła się sprzedaż książek o sztuce i architekturze.

Whrew powszechnemu mniemaniu tzw. kieszonkowe nie muszą być romansami szpiegowskimi. Po wielkich sukcesach klasyków przyszła kolej na politykę. Wydawanie serii o aktualnych zadaniach politycznych pisał we Francji Jacques Julliard (nie mający przy awerskiem nic wspólnego ze sławną rodziną kalendarzy i wydawców).

Wydawnictwo „Suhrkamp” w Frankfurt nad Menem wydał tom zawierający sześć dotychczas nie drukowanych i nie wystawianych jednoaktówek Bertolda Brechta. W styczniu Teatr Miński w Heidelbergu wystawił jedną z nich — „Der Fischzug”.

# Sztuka

145 rysunków wystawił Tadeusz Kulski w białostockim Akademii Sztuki. Na otwarciu wystawy był gośćem wicepremier NRD Lothar Bolz.

Na II Biennale Form Przeszłych w Eblitzau wzięły udział 200 artystów z Australii, Czechosłowacji, Japonii, NFR i Włoch.

W Bydgoszczy ukazała się teka malarsza Tymona Niesiołowskiego (1885—1965), lektora z najwybitniejszych polskich artystów współczesnych. Wydawca jest Muzeum Ziemi Bydgoskiej.

Łódzkie Muzeum Historii Włókniennictwa zorganizowało wystawę czeskich gobelinów współczesnych, pochodzących m. in. ze zbiorów Galerii Narodowej w Pradze.

Wydawany przez Światową Radę Pokoju biuletyn „Perspektywy” (Wiedza, Mówi, Ważni) ogłosił stały, comiesięczny konkurs na rysunki (czarno-białe), których tematem jest walka o pokój.

# Teatr

Warszawski Teatr Kameralny wystawił w reżyserii Jerzego Kreczmara „Urodziny Stanieya”, sztukę Harolda Pintera, jedynego z najciekawszych przedstawicieli nowego dramatu angielskiego. Prapremiera polska odbyła się 17 grudnia. „Jest to sztuka o strachu — oświadczył reżyser. — Główny jej wątek snuje się jednak na prawie komediowej osnowie”. W roli głównej Wiesław Michnikowski.

W Gdańsku na Targu Węglowym zostanie otwarty nowy budynek Teatru „Wybrzeże”, wybudowany na tym samym miejscu, gdzie stał dawniej teatr gdański, spalony w czasie działań wojennych.

Na jubileusz 15-lecia Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu wystawił Kazimierz Korcelligo „Czarniecki i jego żołnierze” w reżyserii Al. Gassowskiego i scenografi M. Stanczaka. W ciągu 15 lat teatr ten dał 4,5 tys. spektakli, które obejrzało 1,5 mln widzów.

Po ogólnopolskim przeglądzie amatorskich teatrów poezji w Nowej Hucie z najlepszymi zespołami: Międzyzdroje, Estrada Poetycka ZDK w Nowej Hucie, zespół pracowników szpitala w Rzeszowie, „Kieles” z Włobrycha, teatry poezji z Olecka, kępański „Kawalec”, „Melozvne” z ZDK przy WSK Rzeszów oraz „Zielone taras” ze Szczecina. Wśród teatrów pantomimy zwyciężył Szczecin.

Jedną z sensacji teatralnych Londynu jest „The Silence of Lee Harvey Oswald” Michaela Hastingsa, grana w Hampstead Theatre Club. Autor zastanawia się nie tyle nad samym zamordowaniem prezydenta Kennedy’ego, lecz nad mentalnością jego zamordowanego zabójcy Oswalda, którego gra znakomity aktor Alan Dobie.

Na początku lutego w paryskim teatrze Lutèce odbędzie się premiera „Tanga” Miroka. Reżyseruje Laurent Terzieff.

# Opera

13 stycznia ma odbyć się w Łodzi otwarcie Teatru Wielkiego, stajęj sceny operowej. W repertuarze inauguracyjnym „Halca” i „Straszny

# Od przedwzrostowych mitów do sztabu Armii Ludowej

Rozmowa z gen. p. g. Janem Wyderkowskim

Zamieszczamy drugą część rozmowy z gen. Janem Wyderkowskim, w latach 1943—44 szefem Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. W pierwszej części rozmowy, opublikowanej w nr 24 z 1987 r., gen. Wyderkowski mówił najpierw o własnym następcie w przyczynach dużego nasilenia działalności partyzanckiej w woj. lubelskim oraz stosunku do Armii Krajowej.

**Z**AKOŃCZYLIŚMY poprzednią część rozmowy sprawą stosunków pomiędzy Gwardią Ludową a Narodowymi Siłami Zbrojnymi (NSZ) i Armią Krajową. A jak Pan General ocenia stosunki i współpracę z Batalionami Chłopskimi?

— Żołnierze GL i BCH pochodzili z tego samego środowiska. Ale jeżeli gwardzista wywołał się z bezdoloty wiejskiej, to bechowiec był pod przemożnym wpływem średniaka i kulaka. Ludowcy postępowi z miejsca znaleźli się w szeregach szeregach, reszta natomiast grawitowała pomiędzy GL i AK. Sironnictwo Ludowe — organ polityczny BCH — na szczeblach kierowniczych było opiewane przez jedynostki nieprzychylnie PPR i GL, chociaż swego nastawienia wobec nas wyraźnie nie okazywało, nie chcąc narazić się swoim dołom. Ale będąc pod wpływem emigracyjnego rządu londyńskiego nie mogło nas kochać.

Dwie te organizacje długo żyły obok siebie — może w tym wypadku użyję słowa niezbyt trafnego — obojętnie. W pewnym stopniu nie zawsze tak było. My niejednokrotnie robiliśmy próby nawiązania ścisłej współpracy, biorąc za podstawę hasło o bezwzględnej walce z Niemcami. W niektórych wypadkach nam się to udawało, w zasadzie BCH chciały i były Niemców oddzielić.

W końcowym okresie działalności partyzanckiej nastąpił zwrot, raczej rozłam w szeregach BCH. Ale to są sprawy dobrze już znane. Doli wspólnie z nami utworzyli Armię Ludową, natomiast góra zdecydowanie opowiedziała się za AK. To pierwsze było naszym dużym wspólnym sukcesem. O wyłamaniu się oddziałów BCH spod opieki góry świadczą liczne akcje bojowe i sabotażowo-dyweryyjne, przeprowadzane wspólnie przez GL i BCH. Jeżeli kiedykolwiek dochodziło do nieporozumień, to tylko na tle podziału ideologicznego i wyposażenia wojskowego, innych zatargów między nami nie było.

— Jakie były główne założenia operacyjno-taktyczne oddziałów GL i AL na Lubelszczyźnie? Był Pan przecież szefem sztabu...

— Na założenia operacyjno-taktyczne wpływa szeroka gama różnorodnych czynników, niektóre z nich należałyby poddać głębszej analizie. Ale i czas naszej rozmowy i miejsce w „Kamieniu” pozwala poruszyć tylko niektóre aspekty tego zagadnienia i to bez szczegółów. Właściwie należy oddzielić dziedzinę operacyjną od dziedziny taktyki. Ale myślę, że w dalszym ciągu samo się wyłoni.

Otóż głównym zadaniem w składowym oddziałów partyzanckich były „kolejówki”. Wprowadzły one dezorganizację w pracę linii komunikacyjnych wroga, opóźniły przybycie na miejsce jego oddziałów, zaopatrzenia i uzbrojenia, zmusiły dowództwo hitlerowskich armii, grup i dywizji do korygowania wcześniej opracowanych planów, obniżyły wartość bojową jednostek walczących na froncie, wprowadziły stan podniecenia i zdenerwowania w sztabach, ograniczyły luźną w ogóle hamowały przeprowadzanie działalności wojskowej Niemców. Drugie — rozwinięcie szkieletu akcji dywersyjno-sabotażowej — muszało okupanta do wycofywania pewnej ilości jednostek z frontu — celem przeprowadzenia obław — zamierzając likwidacji oddziałów partyzanckich i uspokojenia zaścianka. A brak tych jednostek na froncie nie raz odczuwano się bardzo boleśnie. Potwierdzeniem tego są dokumenty hitlerowskich sztabów wysypane do związków taktycznych, należące do przeprowadzenia likwidacji partyzantów w ciągu 1—2 dni, o prawie nigdy się nie udawało. Dla przykładu akcja w lasach lipskich miała trwać 2—3 dni od chwili koncentracji do odwołania i jednocześnie na front wschodni. A tymczasem trwało to wszystko kilkanaście dni, w dodatku siły partyzanckie działały nadal i nadal działały. Myślę, że to otarliśmy się o sprawy operacyjne.

Inne formy działalności — z wyłączeniem niszczenia dokumentów, kwitów, wykazów kontyngentowych, likwidacji

ow i szpicliów, przeciwcje a przymusowemu wywoleńdzalar do Niemców oraz wysiedna robbjanie więzień, likw.dalaniu, h garnizonów zarówno żancję m jak i policji granatowej — w jej. Cała ta działalność służyła do oczyszczenia terenu, co żyła nam większą swobodę w dawce organizacyjnej czy przemardziałów partyzanckich dla szacania zaplanowanych zadań, wykonywanej linii podziału między

Dla operacyjnym i taktycznym da się przeprowadzić, gdyż mi przedsięwzięcia z dziedziny taktyki zawierają w sobie pewne elementy operacji i odwrotnie. Wskazywać należy, jaki sobie staliśmy do osiągnięcia.

— Odrzucim, decydującym dla przelaz naszego kraju dorobku GL AL w całym kraju nie trzeba być przypomniać. Interesuje nas jednak, jak Pan General ocenia rolę Obwodu Lubelskiego?

Geograficzne położenie wojewztwa lubelskiego, jego warunki terenowe, stare postępowe i reacycyjne tradycje stwarzały dogodny podłoże dla rozwoju ruchu oporu. Może pokrótce tylko niektóre efekty tych czynników.

Województwo graniczy od wschodu z Zachodnią Ukrainą, gdzie działalność podziemna rozwijała się na lekką skalę. Włości dochodzące

do Buga rozbudowały umysły społeczeństwa, wznęcały chęć do walki, przysiały temu w sposób oczywisty i niekiedy kompleksy leśne w południowo-zachodnich rejonach, ciągnące się do Zaklikowa przez Janów, Bilgoraj, Wierzyńc, Tomaszów aż po Rawę Ruską, oraz druzi, ciągnący się z niewielkimi przerwami — od Parczewa przez Włodawę, Chełm do Hrubieszowa. Te kompleksy dawały dobre warunki do ukrycia całych oddziałów partyzanckich, przeprowadzania koncentracji, szkolenia itd. Ponadto istniały mniejsze enklawy leśne, jak lasy gościeradowskie, Gzówka, Jurnica, Knieja, lasy batowskie i inne, które pozwalały na krótkotrwale przebywanie oddziałów, zabrzęcały przed obserwacją nieprzyjaciela z powietrza, umożliwiały przemarsze na dłuższych trasach. Na tych leśnych terenach i armia przedwzrostowa stawała najsilniejszą opór, tutaj pozostały znaczne ilości ukrytej broni.

Być może mój sąd o udziale Lubelszczyzny nie będzie w pełni obiektywny z uwagi na to, że wchodzącym w skład dowództwa Obwodu GL i AL aby to zagadnienie bezstronnie rozważyć, należy przeprowadzić bardzo dokładne badania, zdobyć jak największą ilość danych liczbowych o akcjach dywersyjno-sabotażowych, stanie ilościowym wszystkich oddziałów, stratach włas-

nych i nieprzyjaciela itd. Takiego pełnego bilansu wciąż jeszcze nie mamy. Terror okupacyjny działał w całej Polsce, bo okupant wszędzie napotykał na opór społeczeństwa. Ale nasilenie tego terroru na Lubelszczyźnie było największe, w żadnym innym województwie nie było tylu obozów zagłady i pracy przymusowej. A chyba proste, że represje były największe tam, gdzie opór był największy.

Myślę, że należy wymienić jeszcze jeden czynnik, który w sposób istotny wpływał na tworzenie właśnie tu najsilniejszego ruchu oporu. Województwa lubelskie, kieleckie i krakowskie były najbardziej w Polsce. Biedocie wiejskiej trafił do przekonania program, wysunięty przez PPR, członkowie partii tworzyli trzon i główną masę naszych oddziałów partyzanckich. Warunki życia bezrolnych i malorolnych chłopów z tych terenów niewiele odbiegały od tych, w jakich walczyli w lesie.

I chociaż pierwszy oddział partyzancki GL nie tutaj był zorganizowany i nie tutaj działał, to jednak Lubelszczyzna była kolebką ruchu oporu w całej Polsce, Lubelszczyzna jako pierwsza w kraju przystąpiła do masowego tworzenia oddziałów partyzanckich, tu walki z okupantem rozwijały się najbardziej nabierając do końca coraz większego rozmachu. W miarę możliwości udzielaliśmy pomocy sąsiednim województwom w broni i amunicji. Tu przeprowadzono najwięcej akcji sabotażowo-dyweryyjnych oraz walk z żywą siłą okupanta. To wszystko wskazywało na miejsce, jakie Obwód II GL zajął w całokształcie działalności podziemnej w Polsce. Ale nie bądmy bezkrytyczni — na pewno istniały inne dziedziny walki obronnej, w których pozostałe województwa czy rejony miały lepsze osiągnięcia.

Zdaję sobie sprawę, że moje nawiedzenie tematu nie jest ani pełne, ani wszeczhonne. Ale to nie jest obszerna publikacja historyczna i trudno omówić wszystko nawet w skrótach.

— No więc znowu w krótkich, syntetycznych słowach: jak Pan General patrzy na te sprawy dziś, z perspektywy ponad 20 lat?

— Z upływem lat człowiek nabiera coraz więcej doświadczenia życiowego, na wiele spraw ma dziś inny, wydaje mu się, że lepszy pogląd. Ale chyba najczęściej zastanawiam się nad pytaniem: czy wtedy zrobiliśmy wszystko, na co nas było stać? Czy można było zrobić więcej? Odpowiedź jest niezwykle trudna, a jednocześnie ważna. Myślę, że dzisiaj wszyscy mamy do siebie trochę pretensji, że można było zrobić więcej, lepiej, dziś widzimy wyraźniej, gdzie tkwiły przyczyny pewnych niepowodzeń. Tłumaczy nas młodzież, brak doświadczenia i wzorów. Choć na drugiej stronie właśnie młodzież dawała możliwość dokonania rzeczy, których na zimno być może nikt by nie podejmował.

Mimo wszystko ruch oporu w Polsce, na którego czele stała Gwardia Ludowa i Armia Ludowa, był tym czynnikiem, który zwycięskie mocarstwa musiały wziąć pod uwagę



Rola-Zymierski w otoczeniu partyzantów — z lewej, nieco w głębi, Jan Wyderkowski.

przy wytyczaniu granic Polski. Ten ruch oporu posiadał znaczenie militarne i polityczne, był jednym z najsilniejszych argumentów, którym posługiwała się delegacja polska w czasie rozmów w Poczdamie i później. Ten ruch oporu dokumentował przecież stanowisko całego narodu polskiego.

— Zaczęliśmy rozmowę od spraw osobistych Pana Generala. Może na zakończenie także jakieś bardzo osobiste, możliwe dramatyczne wspomnienie?

— Każdy uczestnik ruchu oporu przeżywał chwile, które na zawsze utkwiły mu w pamięci. Oto jedna z nich. Miałam się dla mnie zakończyć tragicznie, ale — jak widać — wyszedłem z opresji obronną ręką.

Latem 1943 r. przybyłem na punkt kontaktowy w Rzeszycy. Punkt znajdował się u chłopca o pseudonimie „Słowik”, który ponadto zajmował się szwstwem. Jego zagroda leżała nieco na uboczu. Po załatwieniu sprawy wychodzę i widzę, jak z najbliższej zagrody wylania się 4 Niemców. Cofnąć się nie mogłem, nie chcąc wzbudzać podejrzeń uleczka. Ukrycie się nie wchodziło w rachubę, teren nie nadawał się do tego, zresztą Niemcy natychmiast mnie zsuwały.

Przez głowę przebiegały błyskawicznie różne pomysły, ale realnego sposobu uniknięcia niebezpieczeństwa nie widziałem. Pozostało cierpliwie czekać co dalej. W kieszeni na pierścionku tkwił należony „Vis” — w nim pokładałem całą nadzieję, którą zresztą ocenilem jako bardzo niską. Niemcy zblizali się. Postanowiłem sobie, że — jeżeli zechcą mnie legitymować — szybko wyjmę z kieszeni na pierścionku strzelający dowód osobisty. Może uda mi się zlikwidować jednego lub dwóch, zanim oni mnie zlikwidują, może... może uda mi się wykonać wszystkie. Najważniejsze zresztą — powtarzam sobie — zachować zimną krew i czekać na rozwój wydarzeń.

Niemcy jakoś nie interesowali się specjalnie moją osobą, nie ścigali z pleców automatów i karabinów. Co więcej — gdy zblizyli się, zapytali, gdzie mogą nabyć produkty żywnościowe. Kiedy im odpowiedziałem, że w tej chalupe mieszka biedny szwec, nawet się uśmiechnęli, gdyż jeden z nich — jak twierdził — musi oddać buty do reperacji. Zapytali także, skąd znam tak dobrze język niemiecki — odpowiedziałem jakąś nieważną bajeczką. Jak się okazało byli to żołnierze starszych roczników z posterunku na stacji Rzeszyca, który miał

ochraniać tory kolejowe. Po kilku jeszcze zdaniach jeden z nich opowiedział mi historię, jaka temu i jego kompanom przytrafiła się w Rzeszycy przed kilku dniami.

Podobnie jak dziś wybrali się wtedy do wsi po zakup żywności. We dwójkę. Wszedł do jednej z chałup i oniemieli. W dość obszernej izbie przy stole siedziało kilku mężczyzn, o ślany była oparta różnego rodzaju broń. Mężczyźni byli w różnorodnych humorach. Niemcy mimo to, widząc przewagę, zamierzali uciec, ale zauważono ich. Jeden z świadników wolno podszedł do nich i gestem zaprosił do środka, co zrobili z duszą na ramieniu. Posadzono ich za stołem, każdemu nalano pełną szklankę wódki i kazano wypić, co oczywiście uczynili bez wahania. Potem poczęstowano ich zakąską z chleba, kiełbasy i słoniny. Jak teraz twierdził wódka była bardzo mocna i śmierdząca — oczywiście bimbler. Po drugiej szklance byli — jak się to mówi — zalani w pestkę. Zapamiętałem tylko, że po jakimś czasie oddano im broń i kazano się szybko wynosić. Ale w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, w jakiej chalupe im się to przydarzyło. Dodali jeszcze, że mieli szczęście, trafiając na porządną ludzi — po czym odeszli.

Tego samego dnia wieczorem udam się do Studzianek. Przechodząc przez las postanowiłem wypróbować „Visa”, którego niedawno otrzymałem po reperacji. Pociągam za spust — niewypał, drugi nabój — niewypał, trzeci tak samo. Na wspomnienie, co mogło się stać kilka godzin wcześniej, gdybym musiał użyć broni, oblał mnie zimny pot. Postanowiłem sobie wtedy, że po otrzymaniu nowej lub naprawionej broni zawsze będę kontrolował jej sprawność. Postanowienia tego zawsze już skrupulatnie przestrzegam.

A wracając do całej naszej rozmowy — nie jestem przekonany, że dałem pełną i wyczerpującą odpowiedź na postawione mi pytania. Z upływem lat wiele wydarzeń zatarło się, inne relacjonujemy nieco inaczej, niż gdybyśmy to robili zaraz po zakończeniu działalności partyzanckiej. Ale mimo to uważam, że zasadnicze momenty, wyjaśniające istotę i przyczyny zjawisk, w miarę możliwości pokazałem we właściwym świetle, zgodnie z prawdą.

Rozmawiali: Jerzy Dostatni Zygmunta Mańkowski

## P

RAGNAC uniknąć megalomanii i niezdrowego patriotyzmu, musimy odpowiedzieć sobie na ważne pytanie: czy obecny region kielecki nawiązuje do jakiegokolwiek historycznego regionu kieleckiego, zwłaszcza czy taki region istniał we wczesnym średniowieczu? Bez jasnej odpowiedzi jakiegokolwiek refleksje mogą być fałszywe, trafiać w próżnię. Otóż region kielecki w kształtach geograficznych i administracyjnych, w jakich istnieje dzisiaj, jest tworem młodym, sięgającym 1918 r. Ale szczebel nawiązał on niemal dokładnie do regionu o daleko starszej metryce, chociaż nie Kieleckim, a Sandomierskim, przyjdzie przypisać w nim pierwszoplanową rolę. Obecna Kieleccyzna z niewielkimi odchyleniami pokrywa się z obszarem województwa sandomierskiego. To zaś obejmowało w zasadzie terytorium księstwa sandomierskiego, odwarzającego region istniejący co najmniej od końca X w. To właśnie pozwala mówić o ciągłości historycznej; na którą niewielki wpływ ma zmiana centrum regionu, jak również przesłano stulecia przerwa, równa czasom rozbiorów i zaborów.

Natomiast już we wczesnym średniowieczu zarysowały się

## Metryka KIELECCYZNY

JOZEF SZYMAŃSKI

pierwsze podziały administracyjne regionu kieleckiego, określające w jakimś stopniu mikroregiony. Wątpliwe wydaje się istnienie kasztelanii z centrum grodowym w Kielcach, natomiast na pewno wyodrębniły się kasztelanie: wilecka, czechowska, polaniecka, sandomierska, zawichojska, radomska, skrzyńska, żarnowiecka i malogoska. Trzy ostatnie nie wchodziły zapewne w skład księstwa krakowsko-sandomierskiego, ale niewątpliwie stanowiły integralną część Małopolski. W zakresie organizacji kościelnej istniały okręgi archidiecezjalne lub im równoznaczne prepozyturalne: sandomierski, zawichojski, radomski, kielecki i wilecki — podporządkowane diecezji krakowskiej, oraz kurzelowski — podporządkowany archidiecezji gnieźnieńskiej. Owe

podziały zarysowały pewną geograficznie polityczno-gospodarczą regionu, przy czym uderza ścisły związek obu podziałów: państwowego i kościelnego.

Chcąc określić miejsce tak nazwanego regionu kieleckiego w Polsce średniowiecznej, wypadnie postawić kilka pytań: jaka istniała tutaj sytuacja osadnicza, jak wyglądała struktura gospodarcza regionu, jak kształtowała się rola polityczna, czy istniały jakieś centra kultury?

Szukając odpowiedzi na pierwsze pytanie, nie będziemy ustalać ani początków osadnictwa, ani też śladów jego narastania. Spróbujmy spojrzeć na to zagadnienie raczej od strony rezultatów demograficznych. Ludność Polski (wraz ze Śląskiem i Pomorzem wschodnim) ok. r. 1340 szacuje się na 1 783 600,

a gęstość zaludnienia na 8,7 osoby na km kwadr. Ludność regionu kieleckiego; obliczona na około 122 580 osób, stanowiła więc prawie 14 proc. ogółu ludności Polski, a gęstość zaludnienia wynosiła 7,1 na km kwadr. Demograficznie był to region nie odlegający wiele od średniej krajowej i stacjonujący powyżej czynnik w strukturze ówczesnego państwa.

Zaludnienie poszczególnych prepozytur pozwala wydzielić dwa podregiony: południowy i północny, co nie jest bez znaczenia dla dalszych obserwacji. Podregion południowy (wilecki) obejmował 1/3 terytorium regionu kieleckiego i był zamieszkały przez 77 400 ludzi (tj. 13,3 osoby na km kwadr., czyli znacznie ponad przeciętną krajową) z wyraźną aglomeracją w rejonie Sandomierza. Podregion północny (kurzelowski, kielecki, radomski) obejmował 2/3 terytorium, ale zamieszkały był tylko przez 45 200 ludzi (tj. 3,9 mieszkańców na km kwadr., daleko mniej niż średnia krajowa). Istnienie tych dwóch podregionów, wyraźnie zarysowujących się poprzez sytuację demograficzną, a konsekwentnie i przez osadniczą, było wynikiem warunków, jakie niosło ze sobą

(Dokończenie na str. 6)

**W** NASTĘPNEJ klatce schodowej mieszka ona. Zna ją z licznych snów. To przecież ona wyrosła wtedy w kiosku z papierosami i zabawkami, gdy kiedyś zwirował księżyc w rytmie księżycowej sonaty. To ona czekała na dwercu na pociąg, aby nigdzie nim nie jechać. To przecież ją wozili nocą na kolorowych kółkach gwiazd po mieście, ucząc ją tajemnic i cieni starych bram.

Nie był tylko powień czy urodził ją w swych snach i wprowadził ją do następnej klatki, czy pierwszej już tam była i sny powstały z modelu rzeczywistości. Ale to przecież wszystko jedno. Pójdźcie tam teraz, znieście coś dla jej maleńkiej przyjaciółki ledwo odrosłej od ziemi. Bo jeśli ma psa, a mieć go musi — bo coż zrobiłby Rozamundek z gnatkami po licznych zjadanych kurczakach, to pies jej musi być maleńki jak miniaturowa. Ona też przecież filigranowa jak ludowy dzbanuszek na kwiaty.

Najlepsze są filigranowe. Więcej w nich wtedy przypada kobiecości na kwadratowy milimetr. Bo suma kobiecości jest wciąż stała niezależnie od wzrostu, wagi i obrotowości. A taką to i w domu można zamknąć, pochuchać, gdy zimno.

Żuł idzie. Talerzyk nakryty serwetką. Żeby pies nie oszalał od razu z radości. Radość też trzeba dozować. Na drzwiach odczytuje numer mieszkanka. Numer się zgadza tylko czy ona ta sama? Stawia talerzyk na ziemi, naciska dzwonek i uśmiecha się do otworzonych drzwi tym uśmiechem, który przez całe życie otwierał mu zawsze wszystkie drzwi.

Zaprosiła go gestem i też się uśmiechnęła.

— Proszę wejść.

Podniósł z ziemi talerzyk i wszedł.

— Rozamundek jestem. Śsiasd. Z następnej klatki schodowej.

— Pamiętam. Proszę usiąść.

— Właśnie jestem na diecie i...

— Ale kawy pan się napije, prawda?

Postawił talerzyk na stole i czekał na kawę. Też w maleńkich jak ona filigrankach.

— ... i w związku z tą dietą przyniosłem...

— Zupelnie niepotrzebnie. Mam przecież ciastka.

— Ale to coś konkretnego. Dla pieska.

Odsłonił serwetkę i pokazał smakowite kostki.

— Nawet żałuję, że nie jestem psem. Chętnie bym je sam schrupał. Tyle smakowitych rzeczy marnuje się na świecie. I dlatego właśnie postanowiłem poznać jakiegoś psa. Najbardziej lubię takie maleńkie. Nad płcią się jeszcze nie zastanawiałem. Ale to przecież mało istotne, prawda?

— Oczywiście.

— Bardzo lubię psy. Czarne, białe, łaciaste — wszystko jedno. Mogą być nawet w przecinku, kropki, paski, kółka, albo jeszcze w co innego. Były by tylko to był pies. Z psią duszą.

— Dlaczego pan nie ma psa?

— Miałem, proszę pani. Cezar się nazywał. Ale się zakochał i odszedł. Nie, nie do niej. Poszedł w dal. Bo to była nie-szczęśliwa miłość. Opowiedzieć pani?... Ale niech mi pani pomoże. Na planinie. Wystarczy parę taktów. Tak śniegiem po klawiszach. Albo trochę wiatru. Albo to co pani potrafi.

Uderzyła kilka akordów i pobiegła palcami do góry. Pewnie na trzecie piętro. Tam właśnie mieszkał.

Z moją Czarną

poznał mnie Cezar pod latarnią gdzie Czarna przysłała z czarną suczką obie zrobiły jakieś sztuczki

oczarowały nas dwie czarne poszedłem z Czarną na pół czarnej a psy zostały pod latarnią.

A potem, proszę pani, był maj, czerwiec, pieski się bardzo polubili, odwiedzali się jak dobrzy sąsiedzi. Jak zostało mi coś z kolacji — Cezar zaniósł to swojej Pinesce. Aż raz wrócił smutny. Cóż, proszę pani. Miłość to nie tylko żarcie, ale i kłopoty, pierwsze rozczarowania.

Ponieważ byłem zakochany

podwójnie stał mi się pies miły podwójnie też stał mi się bliski

takie podobne nasze pyski

gdy wspólne troski nas złączyły.

A potem, proszę pani, jak to zwykle w życiu. Raz u góry, drugi raz jeszcze niżej. A potem czarne wyjechały

odjechał z nimi czarny ślad

nie mogłem nic jeść na kolację

a Cezar — także mało jadł

i księżyc w niebie z głodu zbladł

Tak, tak. Nie ma się z czego śmiać proszę pani. To przecież bardzo smutne.

Oba schudliśmy tak jak śledzie

przez drzwi chłód zaczął przenikać

smutkiem ode mnie zeszła gdzieś a Cezar zmienił się w jannika

A taki był rasowy proszę pani. A życie tymczasem toczy się dalej w molowej tonacji.

Układam strofy o mej Czarnej

Cezar wychodzi tęsknie pod latarnię

i jak ja układa wiersze

ze smutnych gnatów do swej pierwszej

a potem odszedł w swoją dal

i oto tak zostałem sam

Smutne, prawda?... Ach!

zostały jeszcze po niej pehly

też opuszczone tak jak my.

W szczególności nie będziemy już wnikać. Wszystkie szczegóły są zresztą do siebie podobne. Kupiłem DDT. Ale niech się pani nie martwi. Już jestem wolny. Wolny od niej, od wspomnień, od pcheł. To było

zresztą dawno. Tak dawno, że już nie jestem pewny czy było to rzeczywiście, czy tylko piosenka przysniła mi się w księżycową noc... Z gnatkami tylko nie mam co robić. I dlatego tutaj je przyniosłem. Cieszy się pani? Pozostał mi tylko pan pies. Myślę, że też będzie zadowolony z tego poznania. Jeśli pani pozwoli to zawsze będę przynosił.

— A ja myślałam, że pan jest inżynierem.

— Nie, proszę pani. Tylko Rozamundkiem. I zawsze mam czegoś za wiele. I nie wiem co z tym zrobić. Jak to dobrze, że pani ma psa. Już go nawet narysowałem — pokazał jej notesik — Podobny?... Postaram się teraz zjadać więcej kurczaków. To tak przyjemnie być oczekiwany przez kogoś. Czy mógłbym go poglaskać?

— Już śpi.

— Tak wczelnie?

— On zawsze po kolacji lubi się trochę zdrzemnąć.

— Zupelnie tak jak ja... Więc mówmy ciszej, żeby go nie obudzić. Może ma kolorowy sen?... Biedny Cezar.

— Ale jemu nie było pana żal. Zostawił pana samego.

— Ja go rozumiem. Wolał być z dala od miejsca, które przypominał. Czy pani to sobie wyobraża? Ten sam codzienny wybieg przed domem, ta sama latarnia... To boli, proszę pani. A jakie miał romantyczne oczy, gdy wyszliśmy na tę samą alejkę, a nie odcierwało się znajome szczekanie.

— Nie, proszę pani. Ci, którzy odjeżdżają w jedną tylko stronę, tracą swój zapach. Stają się inni. A Cezar mógłby pobiec tylko za znajomym zapachem, który w jego duszy rzeźbił ślad. Miał zresztą swoją dumę... Ale ja tu o rzeczach smutnych, a wieczór puka do okien. Nie miałaby pani ochoty pochodzić trochę po starym mieście? Piesek tymczasem się prześpi. A gdy się obudzi...

Wyszła do przedpokoju, a Rozamundek ze smakiem zaczął układać kostki. Aby te najsmakowitsze znalazły się na wierzchu. Do kobiet i zwierząt trzeba podchodzić z otwartą garścią.

— Jestem gotowa

Stanęła w drzwiach w czerwonym płaszczu, na który już dawniej zwrócił uwagę. A potem wszedł w wieżór miasta. Wskazówki zegarka biegly jedna za drugą, ale na ulicach było jeszcze ciepło i byli ludzie. Tylko jacyś zimni, przebiegali szybko w obydwie strony, pewnie aby się rozgrzać. A może jak émy biegli tylko do światła lamp i gwaru?

— Widzi pani? Ludzie chodzą po mieście z zawiązanymi oczami. Tylko się śpieszą. Idą, przechodzą, przebiegają truchciem. Jakby istotnie wszystko było tak ważne. Ale nie chodzą. I dlatego mówią, że nie ciekawego się nie dzieje. Dostrzegają najwyżej czerwone światła na skrzyżowaniach. Zatrzymują się wtedy na chwilę, ale nadal nic nie widzą. Tylko to czerwone światło. Proszę poczekać chwilę. Zaraz wrócę!

Wszedł do maleńkiego sklepiku, o którym widocznie zapomnieli architekci, aby go zburzyć. To dobrze. Coś przecież trzeba zostawić. Coś małego, zapomnianego spośród rozkrzyczanej cywilizacji miasta. Małe rzeczy też mają swój wdzięk. Choćby to był tylko maleńki sklepik. Są potrzebne jak chwila ciszy. Jak dziura w skarpetce prawdziwego poety. Małe sklepiki przypominają coś kieszonowego, ale w dobrym gatunku.

— Proszę.

— Co to jest?

— Główna kapusty. A to pietruszka do przybrania. Kwaciarnie już zamknięte, a chciałem pani kupić coś na pamiątkę dzisiejszego wieczoru. A gnatki przecież nie dla pani. Ostatecznie co za różnica? Kwiaty, pomidory, kapusta... Zresztą też kolorowa. A co? Miałem kupić landrynkę! Zbyt banalne, jak na taki wieczór. Szkoda byłoby schrupać bez echa. A kapusta przynajmniej nie zwiędnie tak szybko.

— Postawię ją w doniczkę w pokoju. Może zakwitnie kwiatami?

— To już tylko od pani będzie zależało. Jakimi oczami będzie pani na nią patrzeć, co zechce pani w niej zobaczyć.

Już późno. Na bocznych uliczkach ciśnie narasta z każdą minutą. Można już nawet rozróżnić dźwięk kroków dziewczyny i Rozamundka. To dobrze. Człowiek powinien słyszeć własne kroki. Nawcyć się je rozróżniać pośród tysięcy innych.

— A teraz niech się pani rozgląda. Tylko dokładnie. W każdym zaułku bramy

można coś dostrzec. Nawet jeśli nikogo tam nie ma, jest przecież cień, który przyczołgał do murów. Próbowała pani kiedy odczytywać cienie? Były nie własne. Ja wiem, że brak czasu. Ludzie nie mają go nawet na czytanie książek. Z poezją leżącze gorzej. A cienie są jak wiersze. Trzeba je czytać bardzo powoli. Nie śpiesząc się. Najlepiej, gdy miasto śpi. Widzi pani tam tego pana w surducie i w meloniku?

— Jeszcze nie.

— Niech pani przymknie oczy. Stoi w głębi bram.

— Tak. Z kwiatami.

— Istotnie. Pachnie naftaliną, pajęczyną i kurzem lat. Trochę go jeszcze pamiętam. Właśnie się do nas zbliża. Słyszysz pani tę starą piosenkę?

— „Chryzantemy kwiaty szczerzozłote...” Niech pan kupi bukietek fiołków. Kupi pan?

— Oczywiście.

Stary pan opuścił głowę z zakłopotaniem.

— Ale... ale ja nie mogę ich sprzedać. Bo to już ostatnie. Z czym będę potem stał? A jeszcze trochę muszę. Spać nie mogę... Po co panu zresztą te kwiaty?

— Kwiatów nigdy nie jest za wiele.

— Ale to już ostatnie. Na emeryturę idę. Te kwiaty też pewne moje nadgrzyły. Jak tę bramę. Pani! Co to była za brama. Stawałam tu kiedyś, rozkładałam przybory i...

# CIEŃ PRZYROŚNIĘTY DO MURU

HENBYK CZARNECKI

Zsunął melonik na tył głowy i od razu stał się młodszy. Jedwabny szalik zamiast krawatu i pewnie koszuli czynił wrażenie ogromnego bukietu wpiętego w samo serce starego człowieka. I twarz miał natchnioną. Jak na pogrzenie czegoś co było i przestało istnieć.

— „Jedyny w kraju i za granicą cudowny środek! Ostatni cud medycyny. Jedynie nasz preparat niszczy pehly, pluskwy i inne delikatesy czyli motoryzację na własnym napędzie! Panienska się śmieje?... Ze pchła to niby drobiazgi?... Ze pluska to jak domowe, oswojone stworzonko i też ma prawo żyć?... No to wyobraźmy sobie, proszę rodaków, że jesteśmy na przyjęciu. Nóżki zimne i ciepłe, śledź, sardynka, szynka i... nagle skubie nas pchła. I żeby to jeszcze gdzieś w dolinach popasało zwierzątko. Ale ono pierśki sobie upodobało, szycję nadzera. Podrapać się nie można, bo rączki upakowane jedzeniem i łatwo pobrudzić ubranko. A i honor towarzyski nie pozwala czochnać się plecami do futrynie, albo gimnastykować się rękami po sobie... Jedyne kto ma nasz preparat może z dumnym czołem podążyć na ucztę. W razie ataku wroga odkładamy z bonusiem przybory do jedzenia, delikatnie wycieramy paluszki o sukienkę sąsiadki i szczyptę preparatu wysypujemy nieznacznie za kołnierzyk koszulki, albo w inną dzielnicę, gdzie nam chwilowo przykro. Zapach preparatu „rozchodzi się pod odzież i pchła zmuszona jest rozpocząć ewakuację. I oto po minucie już nam wesoło, bo nasza sublokatorka przesiada się na inny autobus czyli na nie posiadającą naszego preparatu ofiarę. I co się wówczas dzieje?... Dużo się dzieje, ale my tego nie widzimy, bo nie wypadła lecieć z teleskopem sąsiadce za biustonosz. Ale już po krótkiej chwili zaczynamy podskakiwać ze śmiechu, bo sąsiadka odkłada przybory i rozpoczyna osobiste tortury, czyli naukową poranną gimnastykę bez udziału radia. Albo leci do kuchni na polowanie z miednicą. Ponieważ jednak mieszkanka najczęściej jednolubowe — maltretowanie odbywa się przy nas i za darmo mamy artystyczne występy ze stripteasem na czele. No! Kto z państwa ma pchłę? Śmiało, rodacy! Pchła to nie ankietka personalna i nie ma się czego wstydzić... Nikt nie ma?... No to weźmiemy służbowe. Kto z państwa na próbkę?... Państwo się boją? Ze niby nie wysiadzie?... No to przyskaj, łunonia, w tłum. Niech się panienka nie boi. Też już zwietrzała. Jej wnuczka miałaby dzisiaj... Albo psy. Pani! To był interes. Po co szanownej pani męża szukać? Żeby chrapał w noży? Bierz pani jannika. Za jednego złociszta pół metra do głośnika nie wliczając ogona. Jannik z dobrego domu. Rasowy. Nie ma pan w domu przyjaciela? Kup pan pin-czerka. Nie kupisz pan to i pies nie pójdzie za pańską trumna na cmen'arz... A kto dziś kupi przyjaciela, skoro na jednego Polaka ze setka chyba przypada? I to jeszcze zagranicznych. Dewizowych... Jakis czas to i wróżkami się zatrudniałem. Owijało się głowę froterowanym ręcznikiem i zaciągano się z Indyjaka: Cheesz wiedzieć co cię czeka? Kiedy fortunę czyli spadek otrzymasz?... A jaki dziś spadek? Chyba na wędze. Kiedyś szwagier stolk mi odstąpił i nowutkie trzy karty. Czterona wygrywa, czarna przegrywa! Tuta, rodacy! Majątek bez pracy! Czerwona wygrywa, czarna przegrywa. I co? Jedna z trzech wygrywała. A w

Totołotku? Szansa na szczęście jak w małżeństwie: żadna... Kwiatki dziś w bramie sprzedaje. Ja z moimi kwalifikacjami. A kiedyś handlowało się literaturą. Zaspiewam: „Chryzantemy kwiaty szczerzozłote”, „Czerwony kapelusik z niebieskim płótkiem”, „O Kosakowskiej co męża młotkiem zabiła”, „Cały zbiór najnowszych piosenek z jedyne dziesięć groszy”, „Czy pani mieszka sama, czy razem z nim?... No pewnie, że nie sama. Dziś?... W naszych trudnościach?... Ramionami wzrusza. To co śpiewać? Współczesne?... „Staruszek portier z uśmiechem dał nam klucz?... Bez łapówek? Do kogo ta mowa. Dłś ludzie niewierzące... Ostatni rasowy artysta chryzantemy na Zadzuski sprzedaje. Gną nam rasy, gdy się łączą klasy. Ech, panie... No, ale musimy już iść. Ja nie z tej dzielnicy teraz. W blokach się mieszka. A gdzie tam, panie, takie bramy. Ale do kwiatków się przywiązałem. Ma się też duszę artysty. I jak tu, panie, na emeryturę?

I odszedł. Wśląknął w noc tak cicho, że nawet ulica nie powtórzyła jego kroków.

— Kto to był?

— Nie poznała pani? Duch starych bram i uliczek. Jakaś cząstka krajobrazu. Już go nie ma. Odszedł w przeszłość razem z swoimi sprawami. A może wtopił się w mur tej bramy? Może w ogóle go nie było?... Wywołałaby tylko ducha starych uliczek. Jak wać z katorynki snuje się może gdzieś między kartkami ulic i bram, które nocą opowiadają swoją historię. Ale je też można polubić. Raźnie wtedy człowiekowi na świecie.

Wzruszyła ją te kostki. Zwłaszcza następne. Z kurczaka, który musiał mieć wymiary porządnej świni. Pewnie dieta się już skończyła. Ale w tych świąskich gnatkach tkwił ludzki oddech miłości bliźniego. Choćby ten bliźni poruszał się po świecie przy pomocy czterech łap i mędrującego ogona.

Lubiła, gdy przychodził. Poznawała go już po charakterystycznym dzwonku, który drżał radośnie i jakby trochę się wstydział. Dotychczas dzwoniło do niej głośno, po prostu, wyraźnie, nawet trochę brutalnie. A może on dzwonił tak cichutko, żeby nie obudzić psa?

Chętnie by go kupiła, aby Rozamundek mógł go czasami poglaskać. Ale po całych dniach nie ma jej przecież w domu, więc pies by najpierw zanudził się z samotności, a potem zdechł z głodu.

Kupiła jednak smycz. To już taki przecież kawałek psa. Wstęp do psa. Psa uwertura. Kupowała najpoważniej, ze wzruszeniem, wybierała długo. Taki bordowy kolor. Z zielonym.

Właściwie to ma już tego psa. Uwierzyła, że jest. Przyzwyczaiła się do niego. Tyle przecież wokół niego cudownych spraw. Dotychczas nikt nie przynosił jej tyle o Rozamundek.

Wszystko poza domem było jak dawniej. Też śpieszyła do pracy, biegła po mieście. Tylko burko ktoś nieznacznie pociągnął różową farbą. Różowym pisała też długopisem na zarzutowionych kartkach. A najbardziej polubiła szesnastkę. Kojrzyła się z zegarkiem i wskazówkami. O szesnastkę śpieszyła teraz do psa, a potem oboje już czekali na Rozamundka.

Odnalazła nagle czas, który zawieruszył się gdzieś w dotychczasowym życiu z kawiarniami, dancingiem, gwarem. Ten jej nowy czas był maleńki, często ograniczał się do rzucenia okiem na szyby jego mieszkania. Palilo się światło. Więc jest. Może produkuje teraz kostki dla psa?

I chodziła cicho po pokoju. W kuchni śpi przecież pies. A w ciszy, jak mówił Rozamundek, zawsze słychać tak wiele. Więc znajdowała czas i na tę chwilę ciszy, aby przystanąć, rozejrzeć się, zoba-czyć. Takie to nienowoczesne. Ale zmęczyła ją wczorajsza nowoczesność. Podsumowywała swoich wczorajszych przyjaciół, którzy skryli się teraz za przedwczorajszym dniem. W którym nie się naprawdę nie działo. Nikt nie przynosił jej dotąd kostek, ani kapusty. Nikt nie wywoływał duchów ze starych bram.

W sobotę, gdy myślała, że dziś już nie zdzwoni do drzwi — zapukał. Ale nie trzymał już w ręku talerzyka.

— Nie przyniosłem dziś kostek.

Wyszła do kuchni po kawę. Co to? Pies znikł. Wyrzwała do przedpokoju: drzwi na klatkę schodową były uchylone. Pewnie wybiegł przez wąską szparę. Na ścianie wisiła tylko smycz.

— Słuchaj, Rozamundku, — powiedziała ze smutkiem, — Pies odszedł. Zapomniałam zamknąć drzwi i uciekł. Co teraz zrobimy?

— Kojację. Przyniosłem brukselkę. Potrafisz ją ugłotować?

— A pies?

— Oboje stworzyliśmy tego psa. Był nam widocznie potrzebny. A teraz odszedł. Trudno. Może zabrała się do innego domu, gdzie powitają go z radością. Ostatecznie nie jesteś już teraz sama. Zrobiło się jej żal psa. Na pewno był miły.

— Polubiłam go... Ale powiedz tak szczerze. Też przyzwyczaiłaś się do niego, prawda?

— Tak. Najpierw go narysowałem przy twoim boku, potem uwierzyłem w niego, a potem pożyczalem nawet kostki od sąsiadów, gdy zabrał mi kurczaków. Dałem ci psa, abyś n'e była nigdy sama. I też się do niego już przywiązałem. Szkoda, że odszedł.

# Przekłady Kazimierza Andrzeja Jaworskiego ze współczesnej poezji słowackiej

JAN SMREK

## Dwie nogi

Ma dwie nogi nocą po ulicy.  
Pomaję — to kobieta, stąpa tak muzycznie.  
Cót to tak na nich szuści i szeleści?  
Jedwabie, aksamity zagraniczne.  
Czemu tak uciekają i cóż to się stało?  
Miłosna jakaś gra czy może dramat?  
Kiedy piękna kobieta idzie w noc ulicą,  
jak to być może, że tak idzie sama?  
Patrzę przez okno: piersi jej falują,  
czarny płaszcz na ramionach zawisał,  
a dwie jej nogi piękne jak się śpieszą!  
Co je tak nagli? — Miłość czy nienawiść?  
Gdybym mógł na nią zawołać — zaczekaj!  
Spójrz, woła cię Romeo, stój, Julio! — Daremno.  
Patrzę się przecież na nią z wysokiego piętra,  
a dramat się rozwija tam, w dole pode mną.  
Dwie nogi naglą siebie, śpiewają i grają.  
Nad nimi jedwab szeleści zielony.  
Ach, pewno na nie miłość wielka czeka,  
okno z zasłoną i pokój przyćmiony.  
Szuka adresu para nóg kobiecych,  
Niecierpliwością każdy ruch ich płonie,  
a tu numery domów poplątane.  
O, Szekspirze, dlaczego nie napiszesz o niej!

FRANCISZEK HEČKO

## Matka mi pisze

Pozdrawiam cię pięknie,  
mój syneczku blady,  
w dalekim świecie

Jam, chwala Bogu zdrowa,  
jeno kaszle często  
i pobołewa mnie głowa — —

Twój ojciec stary  
tej wiosny  
nie kopał na winnicy:  
żółtą z nas już pono,  
mówiono —  
zbyt słabi robotnicy — —

Kiedy tu wrócisz do naszej zagrody?  
Już może nie będzie nas tu!  
Trzeba oraczy młodych:  
gaździny i gazdy.  
Nie ma kto kosić w tej dobie  
i orać na ugorze:  
myślny na pół już w grobie,  
czekają na nas w Górze — —

Już mi tak serce nie bije,  
jak było wprzód — —  
mój synku chudy!  
Tej wiosny w najgłębszej wierze  
złożyłam wreszcie  
za ciebie w ofierze  
szastyńskiej Pannie Maryi  
na ołtarzu lilije — — —

JAN LABÁTH

## Dwie akwarele

1. Ona  
Powiedziała, że ma pragnienie,  
a jam widziała, jak stado jelenie  
przechadza się w jego wzroku,  
i nie żalowałam  
ani dnia swego, ani swojej nocy,  
aby sprowadzić  
jezioro do jego brzegów.

Powiedział, że jest głodny,  
a dal stepowa  
mrozila z jego głosu,  
owoce wierności u nóg jego złotylam  
i czulam,  
jak wyją  
szakałe.

2. On  
Spętałem konia,  
sprzedałem siodło.  
A teraz siedzę  
w oazie przed jej namiotem  
i liczę godziny,  
jak padają na moje drogi,  
jak układają się z wiatrem,  
który zacięra  
moje ślady.

Ona ma włókna rośliny agawy,  
technienie wieczności w fałdach płaszczystych wydm.  
Włóczę się po nich wieczór do północy,  
rozlewam się szybkością lotu  
i rosnę ponad swoją miarę,  
i piję ponad swoje siły,  
i padam  
skłuty poranka sołą,  
kiedy wieczór  
zagasi gwiazdy  
i budzi  
zblakłego ptaka.

Ona ma włókna rośliny agawy  
i technienie śmierci w fałdach wydm  
i wiatr,  
który spiskuje  
pod jej namiotem.

Spętałem konia,  
sprzedałem siodło,  
•, Allachul!

LACO NOVOMESKÝ

## Pieśń o pogrzebie samobójcy

Na czarnej trumnie białe lzy  
w werbel rozpaczy ciemnej biją.

Nie budźcie, bębny, nie wołajcie,  
umarły rad jest, że nie żyje.

Lzy upadają, szare kulki  
do końca w smutny werbel biją.

Nie dzwońcie, kulki ołowiane,  
ołów uśmierca i zabija.

Nie płacźcie lzy tak, białe lzy,  
lzy niby kulki ołowiane,

Jedna, jedna go skrawiła,  
z tą jedną przejdzie grobu bramę.

JAN SMREK

## Jaśmin w płocie

Gdy plot oddzielał dwa domy  
i kiedy zasadziłem tam jaśmin.  
Wyrósł, wybuchnął i już te dwa domy  
łączy uśmiechem jaśminem.

Nie oprócz niego w płocie nie ma,  
ale on sam wystarczy, kiedy czule powie:  
Przeze mnie, sąsiedzie, sąsiadko,  
skiońcie głowy ku sobie!

Nie pachniał, lecz jego słowa  
ech! jakże wonne się zdaly!  
Kiedy przyszedł sąsiad, sąsiadka  
przez jaśmin całować się dala...

PAWEŁ BUNČAK

## W klasycznym kraju

W klasycznym kraju, gdzie każdy dom ma gospodarza  
jabłko otwiera ku słońcu ramiona  
a młodzi czują mądrość starców

W klasycznym kraju w którym kora ziemi  
czytelna jest jak książka  
i rodzi chleb i piactwo i podpięra niebo

W klasycznym kraju w którym lipy pachną miodem  
gdzie oracz piąg zostawia wieczorem na polu  
gdzie cięlika śnią nocą letnią pod gwiazdami  
gdzie w ciemności nie skrada się lis ni wilczyśko  
ponieważ wszystko jest na swoim miejscu  
jak było po potopie według słów Mojżesza

W klasycznym kraju, gdzie kroczyła co dzień  
noga Goethego, Jego Ekscelencji  
w Turyni niedaleko od Weimaru  
pośród bukowych lasów są puste obszary  
pustynia serca — tam wieże strażnicze  
żelazna brama i kolczaste druty  
tam gdzieś w cichości z zamarym oddechem  
spoczywa miasto martwe zwane Buchenwaldem

Tutaj zginęło ponad 55 tysięcy niewinnych ludzi  
wszystkich narodowości

Na to się zdobyć nie mogły starożytne mity  
ani historia  
kiedy tysiąc dziewięćset lat temu zatrzęsa się ziemia  
w południowych Włoszech  
i po szesnastu latach lawa zasypała  
Pompeję, Herkulanum, Stabie

Wulkan był litościwszy niż człowiek w XX wieku  
zostawił malowidła i rysunki chłopców na murach  
Na tamtym pustym terenie płacze samotna wierzba  
i kwiaty wybujały niezwykłej wielkości

W klasycznym kraju w Weimarze  
twoja ręka dotknęła się łóżka Goethego  
i biurka Schillera  
tą pewną ręką trzymasz dziś wyśnione dziewczę  
i prowadzisz ją pustym terenem  
i przez wszystkie puste przestrzenie serca  
gdzie stała fabryka śmierci  
na fundamentach wiedzy i zbroczenia  
o sielankowej nazwie Buchenwald

W klasycznym kraju gdzie boleść zachodzi  
i młodość odlatuje i rodzi się nowa wciąż boleść  
jak słońce wschodzi  
na tym pustym terenie  
zasypanym popiołem tysięcy serc ludzkich  
zarastają trawą betonowe litery  
MEMENTO

**S**TAROPOLSKA episto-  
lografia — mimo wielu  
strat nadal obfita — to  
dział dawnego piśmiennic-  
twa wciąż jeszcze  
niedostatecznie zbadany,  
a przecież dla poznania ludzi i epoki  
niezwykle cenny, nieraz wręcz nie-  
zastąpiony. Ten typ źródła umożli-  
wia badaczowi uchwycenie czegoś  
więcej niż faktów: pozwala bowiem  
na ukazanie mentalności, kultury,  
psychiki ludzi tego okresu.

W okresie Odrodzenia bujnie roz-  
kwitła na Zachodzie sztuka pisa-  
nia listów łacińskich. Ku wyżynom  
rzetelnego artyzmu wyniósł się już  
Francesco Petrarca. Także w Polsce  
renesansowy, łaciński list osiągnął  
bardzo wysoki poziom, między in-  
nymi u Jana Dantyszka, Stanisła-  
wa Hozjusza, Marcina Kromera czy  
Stanisława Orzechowskiego.

We Włoszech, Francji, Anglii w  
ciągu XVI w. holduje się również  
konwencji pisania w języku narodo-  
wym, m. in. programy nauki szkol-  
nej przewidywały kształcenie mło-  
dzieży w tej sztuce. W Polsce dba-  
łość o list w języku narodowym  
przejawia się dość późno. Jednym  
z pierwszych namiętnych krzewicie-  
li polszczyzny w korespondencji pry-  
watnej był król Zygmunt August.  
Teoria pisania polskich listów i ich  
wzory datują się jednak dopiero od  
II połowy XVII wieku (S. Obodziń-  
ski, Promptuarium epistolographi-  
cum..., 1665; St. H. Lubomirski, Roz-  
wój Artaksesa, 1683). Od tego też  
czasu można mówić — i to z wielki-  
mi zastrzeżeniami — o dbałości  
wypowiadania się w polskich listach.  
Panoszący się bowiem wtedy barok

przynosił oplakane rezultaty: dopro-  
wadza do zwyrodnienia prozy. Jas-  
krawym dowodem — oracje i listy  
Jana Chryzostoma Paska.

Nie pod wpływem teorii, nie w  
oparciu o jakieś dostępne w druku  
rodzime wzory, ale po prostu pod  
naporem życiowych potrzeb, gdzieś  
od połowy XVI wieku zmniejsza się

Szafirem usta pocieraj...

## Listy Barbary Zamoyskiej

ADAM ANDRZEJ WITUSIK

szybko liczba listów łacińskich, a  
rośnie liczba polskich. Listy w owym  
czasie zastępowały gazety. Mówi nam  
o tym nie tylko ich obfitość i roz-  
miary, ale przede wszystkim treść.  
Pełna jest ona wojny, polityki, „try-  
bunałów”, gospodarki, brak nato-  
miast spraw ściśle prywatnych. W  
sprawach osobistych, intymnych,  
autorzy listów posługują się ogólni-  
kami, wyświechtanymi zwrotami —  
zasób słów i wyrazów, swoboda i  
giętkość, płynność narracji jest po-  
 prostu prymitywna. Nawet w ko-  
 rrespondencji króla Zygmunta Augus-  
 ta z Barbarą Radziwiłłówną wyra-  
 zy troski o zdrowie i spokój, o wy-  
 godę i bezpieczeństwo górują bez-  
 względnie nad „sexem”. Listy te  
 są zbyt kosmetycznym, dalekim  
 echem tej burzliwej, namiętnej mi-  
 łości. W ogóle — staropolskie „mi-  
 łośne szczebiotanie” w korespon-

dencji listowej jakąś się jak szes-  
 nastoletni sztabak na swym pierw-  
 szym rendez-vous.

W burzliwym, awanturnym,  
krwawym, tętniącym od wojen, kon-  
 federacji wojskowych i rokoszów  
wieku XVII, list bardzo rzadko miał  
 charakter swobodnej, „otworzonej”  
 wypowiedzi. Zbliżał się on do niej

stwierdza w liście z 18.VII.1608 r. —  
 o miłość macierzyńską. Nie miał  
 jej żaden syn dobry u dobrej matki  
 więcej nad cię. Czuję to serce i zdro-  
 wie moje, wie Pan Bóg przed któ-  
 rym często łzami się zalewam za  
 cię”. „Czemuś żeś tak leniwy? —  
 pisze natomiast w liście z 27.V.1608

Teraz wina w gronach posyłam  
z winnicy księdza plebanowy. Nie  
wiem jeśli tam oddawano gruszkę,  
śliwy, orzechy włoskie, com ci  
stała!

Zasypywała go różnymi przy-  
smakami. I tak: „Pomarańcz 10 —  
pisze w liście z 4.VI.1606 r. — po-  
syłam ci; mało, bo mi ich mało  
przywieziono z Gdańska. Soku cy-  
trynowego dla przysmaku do kur-  
czątek posyłam ci; zdrow bądaj  
z niem pieczęste, po kąsku biorąc  
na przystaweczkę, w sawce go  
swey miej”. „Powiedzianno mi —  
stwierdza w liście z 23.XI.1607 r. —  
że nie masz wina węgierskiego;  
posyłam puzderko i parę flaszek  
między niem piólkowego; kiedy-  
byś jakąś surowość żołądka czuł,  
używaj go”.

Chłopiec dość często chorował.  
„Rozumiem żeś ty już ospe odpra-  
wił... — pisze w liście z 18.V.1609  
r. — Zimna, wiatru się strzeż;  
wodą ani ręk nie maczaj; ażebyś  
zawładzenia nie miał tego strzeż.  
Tem szafirem często pocieraj oczy,  
uszy, nos, usta. Piwa zimnego nie  
pij”.

Jan Zamoyski umierając oplekł  
nad jedynakiem powierzył krew-  
nym i przyjaciółom, a mianowicie:  
wojwodzie krakowskiemu Mikro-  
łajowi Zembrzydowskiemu, kaszte-  
lanowi lwowskiemu — późniejsze-  
mu kanclerzowi i hetmanowi wiel-  
kiemu koronnemu — Stanisławowi  
Zółkiewskiemu i biskupowi chełm-  
skiemu Janowi Zamoyskiemu. Zembrzydowski zawiódł oczekiwania  
— pieniędzmi ordynacji opłacił  
wojsko rokoszowe, trwonil docho-  
dy. W jednym z listów (Krzeszów,

(Dokończenie na str. 9)

# KRADZIEŻ WŁASNEGO ŻYCIA

(Dokończenie ze str. 1)

wyż demograficznego. Jeżeli liczbę spraw przeliczymy w stosunku do tysiąca młodzieży (w wieku 10-17 lat), to okaże się, że wzrost jest minimalny — współczynnik podniósł się z 5,45 do 5,5. Ale to nie może nas pocieszać, bo przecież wszyscy oczekujemy, musimy oczekiwać zmniejszenia się tego współczynnika, a nie jego chociażby minimalnego wzrostu. I dalej: udział nieletnich w ogólnej liczbie przestępców. Z wyjątkiem włamań udział ten w okresie ostatnich 3 lat rosł. W 1965 r. nieletni dokonali 1,5 proc. zabójstw, 17 proc. rozbojów, 52,3 proc. włamań, 40,5 proc. kradzieży, 19 proc. gwałtów. Ponad 56 proc. skazanych przez sądy dla nieletnich to dzieci w wieku 13-15 lat, a 23 proc. dzieci w wieku 10-12 lat.

A teraz kilka danych z województwa lubelskiego. Wszystkie odnoszą się do roku 1965 — w 1966 r. nastąpiło na ogół dalsze pogorszenie, chociaż pełnych zestawień jeszcze brak. A więc "wśród ujawnionych sprawców rozbojów i wymuszonych rozbojów (taka jest terminologia MO) 14 proc. to młodzież w wieku do 17 lat, a 53 proc. do lat 20. Kradzież z włamaniem do obiektów społecznych — pierwsza grupa 57 proc., druga 82 proc. Kradzież z włamaniem na szkodę osób prywatnych — 64 proc. i 81 proc. Wśród nieletnich 59 proc. „pracowało” w mniej lub bardziej zorganizowanych grupach, 69 proc. to młodzież uczęszczająca do szkół, 83 proc. posiadało oboje rodziców. Jedna trzecia małych przestępców to dzieci w wieku do 13 lat, a więc tacy, którzy bezpośrednio nie ponoszą przed sądem żadnej odpowiedzialności. Zdecydowaną, olbrzymią większość stanowią chłopcy, chociaż poza statystykami pozostaje psychologiczny wpływ dziewcząt jak również przystępność nieletnich, która zresztą także nie jest zjawiskiem wyjątkowym.

Chyba nie można pocieszać się tym — chociaż zanotować warto — że sytuacja w Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji czy nawet Szwecji jest jeszcze gorsza. Żyjemy w Polsce, nasze własne sprawy są nam najbliższe, sytuacja u nas wystarcza, aby się poważnie zatroskać, a nawet uderzyć na alarm.

O przyczynach napisano już całe tomy: urbanizacja, industrializacja, ruchy migracyjne, przeładowane programy szkolne, mniej lub więcej prawdziwe przepracowanie rodziców...

Najwięcej kontrowersji wzbudza odpowiedzialność, a właściwie współudział w odpowiedzialności rodziców i nauczycieli. Oczywiście w rozmowach prywatnych. Oficjalnie sprawę załatwia się dość gładko. Na zebraniach nauczycielskich całkowitą odpowiedzialnością najpierw za rozbrakowanie, potem chuligaństwo, a wreszcie przestępczość dzieci i młodzieży obciąża się z reguły rodziców — że nie zajmują się dziećmi, nie kontrolują postępów w nauce, nie kontaktują się ze szkołą, dają nadmiernie wysokie kieszonkowe, nie wiedzą, co się dzieje z ich potomstwem wieczornami, a nawet w nocy itd. Atak przedłuża się na zebraniach komitetów rodzicielskich czy rodziców poszczególnych klas — tyle, że bardziej zamaskowane, łagodniejszy. Rodzice najczęściej nie zaprzeczają, no bo nie chcą „narazić” siebie, a właściwie dziecka na to, co nazywają „przyczepianiem się” nauczyciela. Lękają potulnie pigułki i dopiero w gronie prywatnych znajomych zaczyna się kontratak: szkoła nie najlepiej uczy a prawie wcale nie wychowuje, pożądana część nauczycieli tylko odbębna lekcje, dzieci buntują się za takie same dwójki z braku wiadomości i książki czy ciapów...

Do tego ognia jeszcze po kropki oliwy z każdej strony. Czy zakochane w swych dzieciach matki nie wychowują same przyszłych chuliganów, gdy 7 czy 12-letnie dzieci troskliwie sadzą na lawce, a same stoją na zmęczonych nogach i obojętnie patrzą na ludzi jeszcze znacznie starszych i bardziej zmęczonych? Gdy omijają kolejkę w sklepach lub wprost posyłają dzieci, aby dokonały zakupu wskazując się przed kolejkę? Uczą ich przecież pogardy dla ludzi, pogardy dla powszechnie uznanych norm społecznych. Stąd już tylko jeden krok do pogardy przepisów prawnych, do przestępstwa, do uderzenia własnych rodziców. A te zegarki, często złote, futerka i motocykle za promocyje czy jeden zdany egzamin?

A z drugiej strony — jest w Lublinie ok. 2 tysięcy nauczycieli szkół

podstawowych i średnich, ok. 1 tysiąca pracowników naukowych szkół wyższych. Mieszkam w tym mieście lat 17 i tylko kilka razy, dosłownie kilka, widziałem — zresztą nieśmiało — próbę interwencji starszych, gdy kilkunastoletnie dzieci paliły papierosy, piły wino, rzucali kamieniami na siebie i na starszych. Prawda — rodziców jest więcej, ale przecież co 65 dorosły przechodzi do nauczyciela. A więc człowiek, który i z powołaniem i z obowiązku służbowego powinien w takich wypadkach interweniować. Dlaczego tak nie jest? Są przecież zawody, gdzie obowiązują szczególne etyki. Lekarzy stawia się przed związkową komisją dyscyplinarną, nieraz przed sądem, jeżeli dobrowolnie i natychmiast nie pospieszą z pomocą choremu. Milicjant zostaje ukarany dyscyplinarnie, nieraz przez sąd, jeżeli przejdzie obojętnie obok dokonującego się przestępstwa. W obu wypadkach sankcje stosuje się nawet wtedy, gdy lekarz czy milicjant spieszy się, aby w szpitalu powitać własnego potomka lub zrealizować tę jedyną, od dawna wymarzoną randkę. Wysoka jest ranga społeczna nauczyciela. Chyba nie można jej mierzyć tylko — jak to po wspomnianej na początku prelekcji usłowałem mnie przekonać niektórzy dyskutanci — wysokością zarobków. Myślę, że ową wysoką rangę trzeba spłacać społeczeństwu nie tylko w szkole.

To wszystko, co wyżej napisałem, nie znaczy, że główną winę w liczbie przestępstw nieletnich składam na barki nauczycieli. Taki sąd jest krzywdzący, zjawisko bowiem jest bardzo złożone. O niektórych przyczynach wspominałem wyżej, rejestr można znacznie wydłużyć. Chociażby o fakt, że z wielką akcją budowy szkół czynem społecznym wprawdzie zdążyliśmy, ale na ostatnią chwilę. Mury były, ale nie mogła się jeszcze wytworzyć odpowiednia atmosfera, zarówno wśród uczniów jak i pedagogów. Z braku tej atmosfery, z braku doświadczeń pedagogicznych u wielu zwłaszcza młodych nauczycieli, z mikroruchów migracyjnych, związanych z przechodzeniem młodzieży z jednej do drugiej szkoły, przy równoczesnym przeprowadzaniu zbyt wielu już chyba eksperymentów pedagogicznych i dydaktycznych — musiały coraz bardziej jaskrawo ujawniać się konflikty — psychiczne, moralne, a w końcu karne.

Zresztą trzeba mieć pretensje nie tylko do rodziców i nauczycieli. Za

tymi skomplikowanymi sprawami nie nadają się także organizacje młodzieżowe. Ilu harcerzy, członków ZMS czy ZMW wydalono z szeregów tych organizacji za popełnienie przestępstw? Można oczywiście odpowiedzieć, że wydalenie to rzucenie młodego człowieka na pastwę jeszcze bardziej złych wpływów, pozabawienie go pewnej podpory, dyskryminowanie w oczach kolegów. Może więc inne sankcje, bardziej pedagogiczne — ale o takich nie jakoś słychać nie było.

Z tymi sankcjami w szkołach też nie jest dobrze. Jakże bowiem sankcje ma nauczyciel poza postawieniem do kąta, wpisaniem dwójki czy wezwaniem rodziców? Niby istnieje taki środek pedagogiczny, jak przeniesienie do innej szkoły lub nawet całkowite wydalenie. Przed tym pierwszym bronią się zaciekle same szkoły, drugie prowadzi chyba do analfabetyzmu i jeszcze większej przestępczości. Liczba zamkniętych zakładów jest tak mała, że nie mogą w nich znaleźć miejsca nawet ci, którzy na taki pobyt zostali skazani prawomocnym wyrokiem sądu dla nieletnich. A co my mamy zrobić? — pytają nauczyciele. I nikt im konkretnie nie może odpowiedzieć.

Milicja? Po prelekcji i pod jej adresem wysuwano dużo pretensji. A przecież milicja — i to chyba powinno być jasne — jest ogniwem aparatu represji, stosowanych przez zdrową część społeczeństwa wobec tej, która jest chora, która popełniła przestępstwo. Milicjant nie może interweniować dlatego, że wydaje mu się, iż przestępstwo dopiero zostanie popełnione. Gdy zaś początkującego chuligana chwyci na ulicy za kark — jak najczęściej reagujemy my, starsi? Z drugiej strony nie brakuje rodziców, którzy chętnie oddają dzieci w ręce milicji, spodziewając się, że ona zajmie się ich utrzymaniem, wychowaniem, nauczaniem. A przecież ta milicja i tak szeroko rozwinięła swoją działalność w ochronie młodzieży, a więc w profilaktyce. W 1965 r. MO skierowała do instytucji zajmujących się opieką lub wychowaniem prawie 56 tysięcy zawiadomień o dzieciach, potrzebujących pomocy, ponadto 17 tys. podobnych spraw załatwiła sama. Co się stało z owymi 56 tysiącami zawiadomień? Ile z nich wyrzucono do kosza?

Rodzina, szkoła, milicja, harcerstwo, ZMS, ZMW, TPD, Liga Kobiet, sądy dla nieletnich, domy opiekuńcze i zakłady wychowawcze, kluby sportowe, zakłady pracy, związki zawodowe — to chyba jeszcze nie koniec listy tych, którzy zajmują się lub powinni zajmować się wychowaniem młodego pokolenia. Nie można zaprzeczyć, że bez ich działania przestępczość wśród nieletnich byłaby jeszcze znacznie większa, chociaż nie można określić jaka. Ale prawda jest również i to, że praca tych instytucji i organizacji nie jest dostatecznie koordynowana, że niekiedy odpowiedzialność przerzuca się jak ping-pongowa piłka, że chętniej obciąża się pracą innych niż samego siebie.

Min. Sprawiedliwości i KG MO sugerują, aby powołać pełnomocnika rządu do spraw młodzieży na szczeblu centralnym i to o szerokiach uprawnień, z podporządkowaniem mu władz, instytucji i organizacji w zakresie bardzo szerokim — od profilaktyki do opieki nad tymi, którzy opuszczają domy poprawcze. Nie wiem, kiedy projekt ten zostanie zrealizowany. Myślę jednak, że wcale nie trzeba czekać na „szczebel centralny”, można i trzeba to załatwić na szczeblu wojewódzkim. Może zresztą jakieś inne rozwiązanie — nie wiem.

Wiem natomiast, że obecnej sytuacji nie można przeciągać, że najbardziej szkodliwe jest zamykanie oczu na fakty. I dlatego niniejszy artykuł jeszcze przed wydrukowaniem w odciskach zostanie przesłany do kilku osób, które z tytułu zajmowanych stanowisk zajmują się sprawami wychowania młodzieży oraz już wykonanymi przestępstwami. Oczywiście z prośbą o wypowiedzenie się. Głosy te „Kamena” chętnie wydrukuję. Nawet więcej. Redakcja gotowa jest zorganizować raz jeszcze dyskusję, ale już w szerszym gronie. I to nie tylko dlatego, aby wydrukować streszczenie tej dyskusji, ale by znaleźć jakieś nowe, konkretne projekty walki z zagrożeniem moralnym dzieci i młodzieży, z samą przestępczością. Myślmy, że w takiej nieoficjalnej dyskusji można więcej powiedzieć, niż na najlepiej nawet zorganizowanej naradzie. Sądzimy nawet, że wysunięte projekty będące można w formie konkretnych wniosków przedstawić władzom politycznym, oświatowym, różnym organizacjom. Mamy nadzieję, że w ten sposób, jeżeli nawet nie uda się nam doprowadzić do pełnej koordynacji działania, to przecież w jakiś sposób przyczynimy się do zmniejszenia zjawisk, które nas tak niepokoją. Cudownego eliksiru nie wynajdziemy, ale potrzebny jest także dobry środek dezynfekcyjny.

Jerzy Dostatni

MAGDALENA SZYMAŃSKA

## Pełne czekanie

Z moich klęsk czas buduje piramidy, grobowce starych myśli. Jedna umarła naturalnie inne tragicznie... A piramida z lez stać nie chce.  
Bytom

ANDRZEJ GUZEK

## Cisza

Poszukamy tej ciszy razem nieruchomej aż do błękitu nad dalekim horyzontem uciekniemy od fałszywej pantomimy gestów zawieszonych między

spojrzeniami Do zamysłonej powagi drzew — listów przyjaznych Wysłuchamy razem tej ciszy w której wszystkie głosy świata splecione są w delikatność szponowskiego nokturnu zamykającego oczy A kiedy wrócimy do domu twoje dłonie uśmiechną się do mnie wszystkim dziesięcioma palcami  
Lębork

BOGDAN PASTERNAK

## I cóż ci powiem...

I cóż ci powiem teraz zimny jesteś zakryty ziemią i czasem zakryty daleki jak drzwi nieboskłonu

Noc stanęła między nami z nożem księżycy stalowym i cóż ci powiem człowieku odeszły

Drogi nasze dawnej trawą i lopianem zarosły ręce były wciąż za biedne Z czym pójdę do ciebie komu ty jesteś potrzebny.  
Starachowice

# Metryka Kielecczyzny

(Dokończenie ze str. 3)

środowisko geograficzne (lepsze gleby na południu, inne zalesienie, układ geomorfologiczny północny itp.). Nie pozostało to bez wpływu na całokształt życia regionu kieleckiego.

O strukturze gospodarczej decydował układ własności ziemi, która była podstawowym bogactwem regionu. Należała ona przede wszystkim do księcia, możnowładztwa świeckiego i duchownego oraz do drobnego rycerstwa. W dobrach książęcych przede wszystkim prowadzono gospodarkę hodowlaną oraz produkcję rzemieślniczą w ramach wsi służebnych, przeznaczoną na rzecz dworu i organizacji państwowej. Nie widać śladów wyzbywania się przez księcia ziemi w podregionie południowym, gdzie później będą istniały największe aglomeracje dóbr królewskich. Natomiast takie zjawisko istnieje na północy, przy czym największa darowizna to kieleckie dobra biskupów krakowskich. Jednak i w tych wypadkach potrafił książę zapewnić sobie dochody. Najwyraźniej zmierzal przez darowiznę do umiarkowania nakładów inwestycyjnych w zagospodarowanie tych ziem. W momencie jednak zaniku gospodarki naturalnej książę przestaje inwestować w niekiedy dobra i w podregionie południowym, używając znowu jako środka zapewniania dochodu skarbowi książęcemu — darowizny. Zmianie ulega jedynie charakter owych świadczeń na rzecz skarbu, właściwych dla gospodarki towarowej.

W dobrach możnowładczych można obserwować stałą intensyfikację gospodarki. Dla przykładu: około 1227 r. biskup krakowski Iwo Odrowąż podejmuje nierealny projekt karczowania Łysogór i kolonizowania ich na prawie niemieckim (pierwszy ślad także

akcji osadniczej w Małopolsce). Tutaj również istnieją, głównie w podregionie południowym, olbrzymie kompleksy dóbr rodowych możnowładztwa „małopolskiego: Awdańców, Odrowążów, Gryfitów i innych. W ich dobrach prowadzi się nie tylko gospodarkę hodowlaną czy rolniczą, ale nawet przemysłową w stosunkowo dużej skali.

Drobne rycerstwo, siedzące zwłaszcza u podnóża Łysogór na drobnych kawałkach ziemi, to przede wszystkim klientela owego możnowładztwa, włączona w zarządzanie i eksploatację dóbr ziemskich. Usługi świadczone swym protektorem umożliwiały im powolne usamodzielnienie się gospodarcze, chociaż nigdy nie zostały w zasadzie zerwane więzy ekonomiczne z opiekunami.

W sumie Kielecczyzna stanie się w pełnym średniowieczu poważnym zagłębiem gospodarczym Polski, głównie rolniczym, chociaż i tutejsze zasoby dóbr naturalnych nie są obojętne w ostatecznym rozrachunku (np. kopalnie checińskie).

Fakt, że Sandomierz, nazwany przez Galla Anonima obok Krakowa i Wrocławia stolicą państwa (sedes regni principalis), był centrum państwowości polskiej, zaś Wisłica funkcje takie pełniła przez pewien przynajmniej czas, dowodzi rangi politycznej regionu. Jeżeli posiadanie Krakowa w okresie rozdrobnienia feudalnego decydowało o pozycji księcia w państwie, to posiadanie Sandomierza było kluczem do uzyskania Krakowa. Stąd ciągle zabiegł książę jednoczyciel o posiadanie regionu kieleckiego, za ułtarta jego szybko pociągala pozycję się Krakowa i władzy przyrępnackiej.

Obok czynników demograficznych, osadniczych i gospodarczych o roli politycznej regionu decydo-

wał fakt, iż tutaj były centra rodowe możnowładztwa małopolskiego, które wywarło wielki wpływ na politykę państwa, decydując nawet o zmianach w obsadzie tronów książęcych. Możliwość koalicji z innymi innymi regionami, ale zawsze w tak powstających stronniactwach zyskiwało pierwszoplanowe miejsca przywódców i ideologów. Nie bez znaczenia było, że na usługach tego możnowładztwa znajdowały się szeregi bitnych rycerzy-klientów, na służbie u możnowładców dorabiających się fortuny i znaczenia społecznego. Przyszli czas, kiedy potomkowie owych klientów zajęli pozycję swych mocodawców. Tak np.ród Leliwitów, protoplastów Tarnowskich, Melsztyńskich i Jarosławskich, a także Pileckich, wywodzi się z Pisków koło Wisłicy.

Tutaj również tworzy się poważne bazy, mające realizować dalekosiężne plany polityczne. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie polskiej polityki ruskiej z przełomu XII i XIII w. Z nią związane są fundacje cysterskie w Jędrzejowie i nieco późniejsze w Sulejowie, Wąchocku i w Koprzywnicy, które przez lokalizację swego uposażenia miały intensyfikować gospodarczo ówczesne pogranicze wschodnie. Szczególnie interesująca jest kanonicka fundacja w Opatowie, która miała być zalążkiem łacińskiego biskupstwa dla Rusi. Za misją tego biskupstwa miała postępować penetracja polityczna, określająca jeden z centralnych problemów ówczesnej polityki europejskiej.

W dziedzinie kulturalnej dopiero dzisiaj poznajemy walory regionu kieleckiego. Jest rzeczą charakterystyczną, że już w tej chwili wiemy, że budowlit romańskich wzniesiono tutaj więcej, niż w całej reszcie Małopolski. Co więcej, zabytli architektury romańskiej wykazują wręcz kosmopolityczne konsekwencje z najwybitniejszymi centralnymi kultury europejskiej. Niewątpliwie był to drożny kanał, umożliwiający przenikanie dorobku ówczesnej cywilizacji na grunt polski.

Istniały tu również szczególnie dogodnie warunki dla rozwoju szkolnictwa. Na sześć znanych w Małopolsce szkół typu wyższego, działających już w pierwszej połowie XIII w., cztery były zlokalizowane w regionie kieleckim: w Kielcach, Wiślicy, Sandomierzu i w Opatowie (pozostałe w Krakowie i Skalbierzu). Wydaje się dość prawdopodobne istnienie dworskiej szkoły książęcej w XII w. w Stopnicy; jej mistrzem mógł być późniejszy biskup krakowski Mateusz, posiadający wysoką klasę średniowiecznej erudycji, a jej wychowankiem — być może — mistrz Wincenty Kadłubek. Podobne szkoły istniały na przełomie XII i XIII w. w gniazdach rodowych możnowładztwa.

Z regionem kieleckim związane są również pierwotny polskiej twórczości literackiej. Tu powstawała kronika pisana przez Polaka — mistrza Wincentego — w Jędrzejowie, a może już w Sandomierzu. Ze szkołą kielecką trzeba będzie chyba powiązać autora pierwszego polskiego eposu hagiograficznego, Wincentego z Kielc, autora „Vita s. Stanisława”. W Wiślicy pod koniec XII w. powstała polska przeróbka prowansalskiego romanu — podanie o Walsgerzu Wdalem i pięknej Helgundzie, twórczo zapładniające przez wieki naszą literaturę.

W sumie zyskujemy cały zespół zjawisk, składających się na obraz niezwykle prężnego życia regionu kieleckiego we wczesnym średniowieczu. Decydowało o tym wiele czynników, których nie sposób tutaj bardziej szczegółowo eksponować, kształtujących początki nie tylko tego, na co dziś spoglądamy z podziwem, ale tego, czym do dziś żyjemy. I chyba dobrze, że dzisiejszy region kielecki w swych poczynaniach może nawiązać do swej bogatej przeszłości. Niektóre wartości nabierają żywotnych mocy, jak szlachetne wino, po wiekach. Refleksja historyczna ma owe zarodki życia uświadamiać i przypominać.

Józef Szymański

# REKRUT

WIECZOREM załaziło i zaczął padać śnieg. W taki czas każdy myśliwy gotów jest na wszystko, aby tylko stanąć ze szabelką na leśnym przemyku. Ludzie — bardzo poważni i sumienni pracownicy — na widok ponowu zachowują się jak bledni. Telefonują do kolegów za „szkole” bractwa, zaczynają „chorować”, muszą raptownie wyjechać w podróz służbową — używają dziesiątków wybiegów, aby tylko... Mój szef wie o tym najlepiej.

Jechaliśmy do nadleśnictwa Sobibór. Koło rano dzierzawy to łowisko już parę lat i wzięliśmy z niego kilkanaście ładnych dzików. W leśnych ostępach Nadbużańskiej Puszczy zwierzyna jest bardzo dużo. Oprócz dzików i lisów mamy zające, sarny, cetrzewie, masę ptactwa wodnego, a w matorniakach, do których z trudem i rzadko docierają nawet leśnicy, są ostoje wilków i losi. Kto wie, może i dzisiaj któryś z nas będzie miał szczęście spotkać się z burym rabusem...

— No — mówi Ryszard, największy optymista z naszej piątki — wilków może nie być. Za to dzik jest pewny. Rozmawiałem wczoraj z leśniczym — ma otropioną watahę i odyna. Będzie polował z nami i na pewno każdemu z szóstki wyjdzie coś na strzał. Martwię się tylko, czy aby mamy dosyć brenek?

Leśniczy już czekał. Obok dwie pary sań i naganiacze z psami. Śnieg ustal już dawno. Postanowiliśmy nie tracić ani chwili i po kilkunastu minutach jechaliśmy już leśnymi drózkami. Wiemy, że przed dwoma godzinami pojechał konno jeden z gajowców. To doświadczony tropiciel. Jeśli coś znajdzie — natychmiast nas powiadomi.

Las wygląda prześlicznie. Na białym puchu można czytać jak w książce. Świeże tropy zwierzyny krzyżują się w najróżniejsze strony. Zając, lis, znowu zając... O!... Tędy przeszło stadko saren, tutaj kuna... I znowu lisy, zające, sarny...

Pierwsze sanie raptownie stają. Nawet z naszych widać trop watahy, która przeszła tędy bardzo niedawno. Widać, że szły wolno, nie były spłoszone. — Tutaj nawet trochę buchtowały — mówi leśniczy wskazując na kępki mchu i grudy ziemi wymieszanej ze śniegiem. My stajemy. On s'ada na sanki i objeżdża cały oddział. Wyjmujemy z futerałów strzelby, naganiacze trzymają psy na smyczy, rozmawiamy szepem. Wreszcie z przeciwnej strony pojawiają się sanki leśniczego.

— Są! — pytamy cicho i tajemniczo, jak gdyby to była dla nas zupełna nowość.

— Tak! Cała wataha... — Gdzie? — wyrwa się komuś, chociaż to właśnie w tym oddziale.

Leśniczy szybko, rzeczowo wydał dyspozycje. Ten miot poprowadził on, a nie łowczy. Lepiej zna teren, to przecież jego gospodarstwo. Wie o każdej ścieżce zwierzyny, o najmniejszych przesmykach.

— Nagonka zostaje tutaj. Rozstawcie się od tego duktu aż do bagna. Popędźcie na linię młodnika, gdzie kiedyś stał wiatrak. Tam będą myśliwi. Ruszajcie dokładnie za dwadzieścia minut.

## BRONISŁAW RĘDZIOCH

Szybko wsładamy do sań. Teraz z rozmowami koniec. Jedziemy w milczeniu ku legowisku osaczonej watahy. Dzik nie jest pospolitym zwierzęciem jak zając czy kaczka. Tu przysłowiowy łut szczęścia decyduje często o wszystkim. Z góry wiadomo, że nie wszyscy będziemy strzelali w tym pedzeniu. Za to koledzy, na których wyjdzie wataha, będą mieli roboty pełne strzelby.

— Wysładamy! Leśniczy gestem wskazuje miejsca stanowisk. Sanie odjeżdżają gdzieś w bok. Spieszymy się. Za chwilę ma ruszyć nagonka.

Ruszaliśmy. No, na kogo wyjdzie pierwsza sztuka? Kto będzie dzisiaj pierwszym wybrańcem św. Huberta?

Cisza. W pewnej chwili widzę liska, jak ostrożnie skrada się do linii myśliwych. Mam go idealnie do strzału. Tym razem jednak lisy korzystają z amnestii. Czekamy na coś znacznie grubszego. Młota przystanął, coś zauważył, błyskawicznie zwraca i g'nie w gąszczu młodnika. Ten już tutaj nie wyjdzie.

Cisza trwa. Minęły trzy minuty... pięć... osiem... Rapiem gdzieś niedaleko w mocię z prawej strony wybuchają jęgot psiarń.

Ruszaliśmy!... Oczy aż do bólu wpatrują się w ścianę lasu. W gardle sucho. Dubeltówka zaczyna lekko drżeć w dłoniach. Tylko spokojnie, spokojnie — szepcze w myślach. — W takim stanie nie im nie zrobisz. Zobaczymy zresztą gdzie wyjdzie.

Ujądanie psów to oddala się, to znów narasta. Słychać jednak, że powoli cały szum przesuwa się bardziej na prawo. Coraz słabiej słychać głosy nagonki, która podnieca psy do lepszego pioszenia zwierza. I raptownie...

— Bach! Bach! I po sekundzie: — Bach! Bach! Bach!

Słychać trąbkę łowczego. Do linii podchodzą naganiacze. Pędzenie skończono. Szybko idziemy w stronę strzałow. Są tam już zebrani wszyscy koledzy. Gajowy, który kieruje nagonką, odpędza psy od niewielkiego warchlaka.

— Kto strzelał? Komu gratulować?

— Ryszard, Stefan i Jurek. Zabił Stefan. Ale wyniki — twierdzi prezes koła — mogły być lepsze. Wszystko popsuł Jurek.

Myśliwi są podnieceni. Opowiadają wszyscy jednocześnie. Temu zwierz mignął z daleka między drzewami; ten słyszał tupot watahy i łamanie krzaków; tamten miał już strzelać; ten od razu wleciał, że wataha pójdzie właśnie tędy! Tylko Jurek stoi z boku, jest zmartwiony. Strzelał do dzika po raz pierwszy i takie pudło! Potem na sanach opowiada wszystkim jak było; zapatrzył się za lsem, który dłuższą chwilę myszkował przed jego stanowiskiem. Gdy usłyszał psy i spojrział w głąb miotu, zobaczył całą watahę biegnącą jakieś sto metrów od jego stanowiska. Nie wytrzymał. Zaczął strzelać na jakieś siedemdziesiąt kroków. Po pierwszych strzałach dziki skręcił w prawo. Poszły na flankę, w bagna. Ten warchlak oblił bliżej myśliwych. Reszta uszła.

— Gdybym puścił je na trzydzieści kroków...

— Też być wypudli! — „pociesza” go Ryszard, który jeszcze w samochodzie twierdził, że Jurek na pewno będzie dzisiaj strzelał. Tacy „rekruci” zawsze mają szczęście — dowodził. — Gdy ja byłem pierwszy raz na dzikach w Makosze...

Na linii pojawił się leśnik na koniu.

— Są!... — powiedział i to z takim akcentem, że wszyscy porwałimy się z sań.

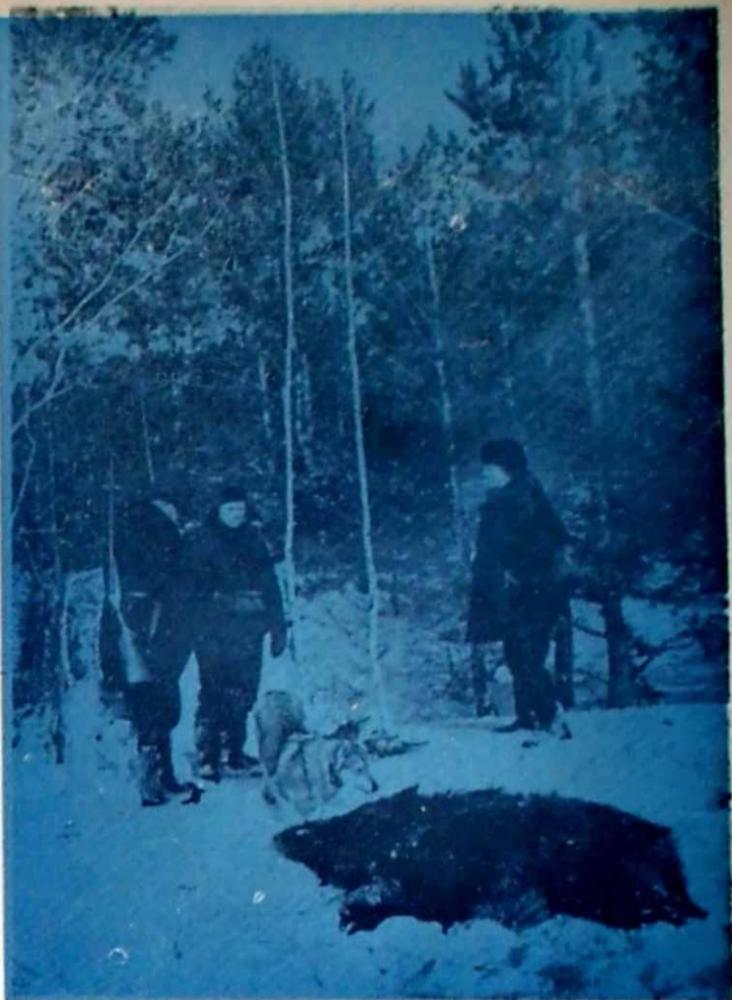
— Gdzie? — W młodniku obok Brudnego, przy samym jeziorze. Wataha i odyniec.

— Odyniec!... — Tak. Zapadły niedawno. Gdy jechałem tamtędy o brzasku nie było jeszcze żadnych tropów. Teraz są. Nie wyszły z młodnika bo objechałem cały oddział.

Zawracamy. Wysładamy przy rybakówce. Nagonka ruszy od drogi do Zbereża i popędzi na wysoki las. To jest naturalny ciąg dzików. Tędy idą zawsze do ostoi na bagnach między jeziorami.

Odyniec... Zaciekły knur, mądrzejszy od wilka, najgroźniejszy przeciwnik dla myśliwego w polskich kniejach. Ten doświadczony kierownik lubi żyć w samotności. Zjawia się w stadzie tylko na dżicze wesele. Teraz odpooczywa wspólnie z watahą, bo widocznie spóźnił się przed brzaskiem do legowiska na bagnach.

Wszyscy, z wyjątkiem Jurka, stajemy na wysokim lesie. Jemu wypadła flanką i łowczy poleciał mu stanać od strony jeziora i dużego wrzosowiska. Za jeziorzem ciągnął się las, gdzie braliśmy poprzedni miot. Jurka postawiono na wszelki wy-



padek. Wiadomo, że dziki pójdą na nas, ale czasem?...

Tym razem psy ruszyły natychmiast po trabce. Łamiąc krzaki cała wataha runęła na linię myśliwych. Padło kilkanaście szybkich, nerwowych strzałów. Niestety — bez rezultatu. Psy, jakby zawiedzione, przystanąły na linii myśliwych i natychmiast popędziły dalej. Zaczęliśmy się schodzić, zdenerwowani „pudłami”, twierdząc, że gdyby nie ten krzak czy tamta sosna to... Z tego wszystkiego zapomnieliśmy o odyniecu. I naraz...

— Bach! I po chwili: — Bach! Rany boskie, odyniec!

Pędem pobiegliśmy w stronę strzałow. W odległości około dwustu metrów zobaczyliśmy Jurka jak gramolił się z rowu cały zaspany śniegiem.

— Chyba dostał! — wołał roztrzęsiony. — Leży na pewno tam, za krzakami wikliny, bo nie widziałem, aby dalej uciekał.

— Kto leży?

— Odyniec! O, tutaj przebiegł, koło mnie, nie dalej jak dziesięć kroków. Już miałem odejść, a tu z krzaków wywała „szafa”. Po pierwszym strzale zrzułował, potem poderwał się. Strzeliłem jeszcze raz, chciałem za nim biec i wpadłem do rowu.

Ostrożnie, z nabitymi strzelbami, podeszliśmy do krzaków wikliny. Za nimi widać było leżące cielsko dużego dzika. Był martwy. Obydwa strzały celne — jeden trafił w brzuch, drugi tuż za uchem. Ten właśnie był śmiertelny.

Wszyscy serdecznie gratulujemy „rekrutowi”. Stare nemrody zapomnieli o odyniecu, a Jureczek pokazał co potrafi. Brawo!

Przy jeziorze znowu pojawił się gajowy na koniu.

— Są!... — Gdzie?... — W zagajnikach pod Stulnem. Wataha... — Jedźmy!

Brenek nam jednak nie zabrakło. Do wieczora Dominik upolował ładnego wycinka. Strzelali wszyscy!

## Maria Federowiczowa - zapomniana aktorka



KAZIMIERZ PARAFIANOWICZ

DZIS na włostowickim cmentarzu trudno znaleźć grób Marii Federowiczowej. W tej części, gdzie wówczas chowano, pełno dziś bezimiennych, porośniętych trawą pagórków. Kiedy 22 marca 1922 r. umierała na raka żołądka, mało kto wiedział, że odchodzi kobieta niedawno jeszcze sławna.

Życie na scenie oddzielała wyraźnie od prywatnego. Dla publiczności i krytyki była zawsze Marią Federowiczową. W życiu prywatnym nazywała się Augusta Valeri. Kilka lat przed śmiercią zmieniając nazwisko na Czarniecka. Kariera aktorska zaczęła się dla niej obiecująco; przypadła do gustu i serce publiczności, bo obok uroku osobistego potrafiła wnieść na scenę dobrej klasy aktorstwo. Uczeń J. Kotarbińskiego, W. Rapackiego i Wł. Szymanowskiego, absolwentka klasy dykcji i deklamacji szkoły Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, debiutowała w grudniu 1893 roku na deskach warszawskiego teatru „Rozmaitości” w trudnej roli Plotnickiej w „Flircie” Baluckiego. „Mówiła dobrze, akcentując inteligentnie subtelności

dyalogu, ruszała się na scenie śmiało, ujawniając nerw teatralny, to najgłośniejsze znamie powołania” — pisał ówczesny recenzent.

Rola Inki w „Złotym runie” S. Frybyszewskiego (1901) to bezwzględnie jedną z największych sukcesów Federowiczowej: „psychologia, estetyka — te potężne czynniki kultury ducha ludzkiego z siłą niemal kaznodziejską przemawiały przez usta p. Federowiczowej, pp. Zelazowskiego, Nowickiego, Leszczyńskiego etc [...] każda chwila wyznała miłośnych, każdy ruch cechujący tę subtelna myśl autora, nawet nie wypowiedzianą, estetyczną formę — to też czynnik fatalistycznej miłości dwójki! Pani Federowiczowa wnika w te estetykę i stąd otrzymujemy scenę miłosną tak estetyczną, tak subtelna, że najzaciętszy purysta nie zarzucił nie może”.

Przybyszewski i Federowiczowa to dwa nazwiska, które ściśle się z sobą wiązały, albowiem była najlepszą interpretatorką dramatów przywódcy Młodej Polski. Józef Kotarbiński, jej nauczyciel i wychowawca, podkreślił, że: „umiała wdziękiem i erotyczną narko-

zą, zulażać w sztukach Przybyszewskiego”.

Te lata to okres największego powodzenia Federowiczowej i jej scenicznej dojrzałości. Stefan Krzywoszewski pisze „Piękną ogrodniczkę”, przeznaczając w niej rolę właśnie dla Federowiczowej: „Pani Federowiczowa doskonale uchwyciła ton rozpieszczonej młodej mężatki, miała dużo wdzięku, dużo szczeroci i swobodę”.

Po kilku dalszych sukcesach scenicznych Federowiczowa nagłe postanawia odejść z teatru — u szczytu powodzenia, w pełni glorii: „p. Federowiczowa, artystka teatrów warszawskich, opuszcza deski sceniczne na zawsze... Uswaja się z teatru i wyjeżdża dla poratowania zdrowia na południe”.

Chwilowo powraca na warszawską scenę w r. 1904. Gra główną rolę we własnej sztuce „Zawierucha” i to tylko w zastępstwie „z powodu nagłego zasląbnienia p. Przybyszewskiego”. Federowiczowa zaczyna interesować dramatopisarstwo. Po „Zawierusze” następną z kolei premiera własnej sztuki — „Przed debiutem”, grana w r. 1905 na scenie Filharmonii przez gościnnie występujący w Warszawie teatr łódzki. Następnie wyjeżdża do Szwajcarii, ale po kilku latach znowu jest w Polsce. A gdy w „Nowej Cierce” G. A. de Caillavet’a i R. Flera’a wystąpiła w roli Gizelli „była wprost czarującym zjawiskiem. Jej kokieteria miała taki wdzięk dobroci, taką naturalność wyrazu, taki urok bez sztuki, takie śliczne akcenty, ruchy i uśmiechy, że zakochali się w niej nie tylko partnerzy, lecz cała publiczność”.

Dosyć nagle zniła z Warszawy. Podróżuje: Paryż, Rzym, Nicea... W roku 1910 przyjeżdża do Petersburga: „Zachciało się jej tam szukać w teatrze triumfów. Zapomniała o niemiłosiernym, niepowtarzalnym

biegu lat... Pierwsze zawody, pierwsze rozczarowanie — duma tej, co rządziła i zawsze zwyciężała, krwawo zraniona...” I nie jej tylko. Nawet słynna Sarah Bernhardt przegrała w carskiej stolicy.

Powraca wkrótce do Warszawy, do macierzystego teatru „Rozmaitości”, gdzie znajduje znowu entuzjazm cagle wiernej publiczności.

Ale już i Warszawa zaczyna dostrzegać to, co nierofornie zaważyło na karierze w Rosji: „Gdyby nie głos, który stracił nie czystości i dziewczęcości...” Jeszcze występ w „Nietoperzach” E. Lubowskiego, w roli Zmijewskiej (1913) i usunięcie się w cień. Czy zupełnie?

Nie, ponieważ po dwóch latach ma ostatni występ w Warszawie, zakończony wielkim sukcesem. W niedzielę 10.11.1915 r. w Teatrze Wielkim gra Barbarę Radziwiłłównę w „Złoty wczasy” L. Ryala: „Rola Barbary Radziwiłłówny odpowiada przedwzrostu indywidualności Federowiczowej, która najmocniej przemawiała zawsze tam, gdzie skarży się w bolesnym liryzmie, gdzie śpiewa miękko, subtelnie artystyczną kobiecość!... Jej liryzm ma rasę, jej kobiecość kulturę, jej talent blaski poezji”.

Ale to na pewno koniec występów w Warszawie. W kilka miesięcy później przebywa w Kozłowie koło Lubartowa, już jako żona znacznie młodszego od niej Czarnieckiego. Ale scena jest magnesem. Dyrektor teatru lubelskiego Henryk Halicki angażuje ją na początek roku 1916. W „Królowej Niebiosa” M. Gawalewicz. Federowiczowa święci kolejny sukces! „Całe tężozowe bogactwo fantazji, cały urok pogody i słonecznych uśmiechów życia, cała melancholia smutku i całą moc bólu: wszystkie te nastroje i uczucia, przyswijające się kolejno przez „Lęgendy” odtworzyła p. Federowiczowa z taką wiernością, takim talentem i ar-

tyzmem, że skromną salę naszego teatru zamieniła w zaczerwonany świat poezji” (Ziemia Lubelska, 7.II.1916).

Już 12 lutego następną premiera: „Gniazdo rodzinne” H. Sudermana i występ w roli Magdaleny: „Wraz z jej Magdaleną przeżywał wtedy cały huragan uczuć głębokich i silnych”.

Na początku r. 1917 reżyseruje i gra główną rolę w „Safie” A. Daudeta. Po trzech przedstawieniach wyjeżdża z Lublina — „na jakiś czas”.

Na zawsze. Jeszcze krótki pobyt w Elżówce, praca w gospodarstwie, wyjazd do Puław, choroba. To już koniec. Szybko o niej zapomniano. Tylko Encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego przynosi wzmiankę; najnowsze encyklopedie i Polski Słownik Biograficzny już zaażyły zapomnieć o Federowiczowej.

A przecież obok dobrego aktorstwa wniosła własne sztuki teatralne, m.in. jednoaktową „Zawieruchę” (1904), w której pokazuje dom mieszczański od strony kuchni i służby. Federowiczowa podejmuje aktualna tematykę, stara się również walczyć, tylko o ile np. Zapolska czyni to ironia, pętnuje bez ogródek, o tyle Federowiczowa próbuje osiągnąć podobne cele na drodze „sentymentalnego wzbudzenia współczucia. Lagodna, sentymentalna kobieta obdarzyła własnymi cechami swoich bohaterów. Oni mogą tylko lkać tylko bronić się, mścić się nawet jak Józia ale pozostają nadal bezsilni. Widz współczuje, ale nie oburza się. I w efekcie spęca dramatyczne, akcja, odgłosy zawieruchy dają tylko orawa, sa efektami, a nie środkiem dopowiedzenia treści.

Federowiczowa jest, i to prawda, zbyt „melodramatyczna”. Mało w (Dokończenie na str. 9)

# Na marginesie apelu do pana ministra

(Dokończenie ze str. 1)

VIII Zjeździe Delegatów ZNP premier Józef Cyrankiewicz.

W Ministerstwie Oświaty był rozważany projekt — jak się wydaje bardzo rozsądny — odpowiadający potrzebom chwili — aby TPP przekształcić w szkołę przemysłowo-pedagogiczną, której program w pierwszych dwóch latach odpowiadałby odpowiednio dostosowanemu programowi techników, tak, aby uczniowie po dwóch latach nauki otrzymali świadectwo dojrzałości z tytułem technika. Program nauczania ostatnich trzech lat byłby programem zakładu kształcenia nauczycieli, to znaczy uwzględniałby w znacznie większym stopniu, niż to jest obecnie, wiedzę i ćwiczenia z psychologii i pedagogiki oraz metodykę nauczania zajęć praktycznych i zawodowych przedmiotów kierunkowych. Byłaby to już szkoła półwyższa.

Takie rozwiązanie odpowiadałoby potrzebom zarówno przemysłu jak i szkolnictwa zawodowego, ponadto byłoby zgodne z podstawami naukowymi rozwoju zawodowego techników — kandydatów do zawodu nauczycielskiego. Według amerykańskiego psychologa przemysłowego Donalda E. Supera rozwój zawodowy polega na stopniowych zmianach zdolności ucznia do pracy zawodowej. Rozwój zawodowy obejmuje trzy czynniki: 1) uświadomienie sobie przez ucznia roli społecznej nauczyciela zawodu, 2) kształtowanie osobowości, 3) zaznajomienie się z czynnościami dydaktyczno-wychowawczymi i metodą nauczania operacji produkcyjnych. Wszystkie te czynniki łącznie kształtują zachowanie zawodowe czyli postawę pedagogiczno-techniczną kandydatów na nauczycieli.

Te dwa procesy: rozwój zawodowy i kształtowanie zachowania zawodowego byłyby psychologiczną podstawą, uzasadniającą wyżej opisaną dwustopniowość kształcenia kandydatów na nauczycieli zakładniczych szkół zawodowych. Procesy te według nadanej charakterystyki Ginzberga i Supera zachodzą w stadium rozwojowym eksploracji (poszukiwania) zawodowej w okresie dorastania, który przypada na wiek 15-21 lat. Absolwenci ZSZ, przychodzący do TPP, powinni już mieć za sobą okres „próbowania” zawodu, przypadający na wiek 15-17 lat. Okres ten cechuje się badaniem samego siebie, próbowaniem sił w wykonywaniu różnych ról społecznych, wreszcie poszukiwaniem trwałych zainteresowań zawodowych w różnych formach czynnego wypoczynku. Okres ten powinien się kończyć ustaleniem motywów podjęcia decyzji zawodowej, co wymaga osiągnięcia wyższego stopnia dojrzałości emocjonalnej, intelektualnej, społeczno-moralnej.

Niestety — jak świadczą cytowane przez ob. Górąskiego wypowiedzi uczniów TPP, jak również badania prowadzone w lubelskim TPP — adepci pedagogiki przemysłowej takiej dojrzałości nie wykazują. Z tego też względu dyrektorzy i nauczyciele TPP borykają się z problemem jak najszybszego przejścia uczniów przez okres „próbowania” zawodu i racjonalnego zorganizowania warunków do przejścia przez młodzież drugiego stadium eksploracji zawodowej.

Jest to zadanie tym trudniejsze dla szkoły, że szczególną cechą tego drugiego okresu jest przypisywanie przez młodzież większej wagi sądom o rzetelności oraz dokonywanie prób samookreślenia, wypracowania pojęcia własnego „ja”, dążenie do pozycji ludzi dorosłych, które — jak wiadomo z psychologii — stanowi sprawdzian pozytywnej integracji osobowości.

Tak więc cytowane przez ob. Górąskiego wypowiedzi uczniów TPP trzeba osadzić na gruncie psychologicznej problematyki — rozwoju zawodowego i studów życia zawodowego człowieka, której główne tezy przedstawiła u nas prof. Janina

Bulkiewicz w tomie pt. „Socjologia Zawodów” (1965), Br. Biegeleisen-Zelazowski w dziele „Zarys psychologii pracy” (1964), we Francji Georges Friedmann, w ZSRR N. Lewitow w „Psychologii truda” (polski przekład 1963).

Jeśli z takiego naukowego punktu widzenia oceniamy sens tych wypowiedzi, musimy zgodzić się na to, że są one wyrazem dążenia autorów do samookreślenia i na tym polega ich wartość pozytywna. Ale stwierdzenie to nie oznacza, że trzeba wszystkie wypowiedzi młodzieży uznać za słuszne.

Na pewno słuszny jest postulat, aby Ministerstwo Oświaty i Szkołnictwa Wyższego podjęło na nowo problem kształcenia kadr nauczycieli szkół zawodowych i jeszcze raz rozpatrzyło rozwiązanie radzieckie i jugosłowiańskie. W ZSRR do Technikum Przemysłowo-Pedagogicznego w Leningradzie, które osobiście odwiedziłem, przyjmują się młodzież w wieku od 15 do 30 lat po ukończeniu 8-letniej lub 10-letniej szkoły ogólnokształcącej i 1,5-roczonej lub 2-letniej szkoły rezerwy pracy (odpowiednika naszej ZSZ), przy czym dla kandydatów po 8-letnim okresie nauki w IPT (Industriaino-Pedagogiczeskij Technikum) wynosi 4 lata, dla uczniów po 10-letnim — 3 lata. Szkoła daje świadectwo ukończenia kursu nauk i dyploma technika technologia odpowiedniej specjalności lub technika technologia i nauczyciela zawodu przedmiotów zawodowych. Pierwsze po zdaniu egzaminu końcowego, drugi po odbyciu 2 lub 3-letniego stażu w fabryce albo w szkole zawodowej. Absolwenci mają też stopień podporucznika ze specjalnością eksploatacji maszyny wojskowych, gdyż przechodzą studium wojskowe. W ten sposób zabezpieczono dobór kandydatów do zawodu nauczycielskiego licząc się z teorią rozwoju i zachowania zawodowego.

Uczniowie IPT są traktowani jak doradzi (już w pierwszych klasach widzieliem konaty, a nawet rozwiedzionych) i nazywani są studentami. Ale noszą mundury z dużymi krokrami na rękawach, oznaczającymi przynależność do odpowiedniego kursu (nie „klasy”). Uczniowie mają samorząd, którym kieruje organizacja komсомольска. Ale dyscyplina jest żelazna. Palenie papierosów jest dozwolone tylko w palarni. Nauczanie odbywa się w pracowniach i laboratoriach wzorowo wyposażonych. W pracowni materiałoznawstwa widzieliem 15 mikroskopów elektronicznych. Dwie sale rysunku technicznego są lepiej urządzone niż niejedno nasze biuro projektów architektonicznych. Pracownia technologii zawiera najnowsze urządzenia pomiarowe, podobnie jest w pracowniach elektrycznych. Każdy uczeń w toku nauczania kierunkowych przedmiotów jest zobowiązany do wykonania pracy laboratoryjnej, która jest warunkiem dopuszczenia do pracy dyplomowej. A w warsztatach IPT uczniowie wykonują wysoko kwalifikowane zadania produkcyjne w kooperacji z zakładami przemysłowymi.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że szkoła doszła do takiego poziomu nauczania po 20 latach wysiłków. Przykład ten, podobnie zresztą jak rozwiązywanie jugosłowiańskie lub widziału pedagogiki przemysłowej przy Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie świadczą, że jest bogaty materiał do dyskusji na temat struktury i modelu zakładu kształcenia nauczycieli dla szkół zawodowych. Materiał ten był dostępny zarówno Ministerstwu Oświaty i Komisji Sejmowej jak i Zarządowi Głównemu ZNP. Jednak paląc sprawę kształcenia nauczycieli dla szkół zawodowych na stopniu półwyższym i wyższym odłożono ad calendas graecas.

Należy się więc obawiać, że długo jeszcze problem kwalifikowanej kadry robotniczej i techników dla gospodarki narodowej będzie wy-

wolywał takie artykuły, jak ob. Górąskiego na lamach „Kameryny”.

Tyle o istocie sprawy. Odpowiedzi na pytanie, czy wypowiedzi, cytowane w artykule ob. Górąskiego, dadzą się uogólnić w części dotyczącej organizacji nauczania i wychowania na wszystkie TPP w kraju, wypadnie jednak negatywnie. Zarówno krajowe konferencje dyrektorów TPP w Warszawie (1965) i Włocławku (1966) oraz ostatnio odbyta w Lublinie krajowa konferencja kierowników praktyki pedagogicznej pozwalała suponować, że sytuacja w TPP nie jest tak alarmująca, jak mógłby sądzić czytelnik na podstawie nieprzemyślanych postulatów autorów cytowanych wypowiedzi.

Wypowiedzi te zresztą metodologicznie są bezwartościowe, ponieważ badana zbiorowość nie jest reprezentatywna, a opracowanie materiału wypowiedzi niemethodyczne. Zawiera ono błąd najczęstszy w prezentowaniu materiału anonimowych ankiet — pośpieszne uogólnianie lub niezgodność opinii z faktami. TPP w Lublinie od 3 lat prowadzi badania psycho-socjo-pedagogiczne metodą kompleksową, uwzględniając także metodę ankiety i metodę dokumentów osobistych różnego rodzaju. Takie wypowiedzi, jak niektóre z cytowanych przez ob. Górąskiego, należą do wyjątków i pochodzą od niedojrzałych społecznie i intelektualnie uczniów.

Z 31 naszych absolwentów, którzy opuścili szkołę w czerwcu br., 6 studiują już na Politechnice Wrocławskiej i WSP, i odbywają służbę wojskową, pozostali z wyjątkiem jednego pracują w szkołach jako nauczyciele. Jak wiemy z rozmów i listów oraz pośredniej obserwacji — dobrze dają sobie radę z trudnościami zawodu nauczycielskiego-wychowawcy. Nie mamy też większych kłopotów z brakiem w szkole gotarni i z tarczami, chociaż trafiają się jednostki typu nihilistyczno-cyganerwicznego. Z młodzieży jesteśmy zadowoleni. Na ogół podchodzi ona do nauki, do pracy produkcyjnej i praktyki pedagogicznej bardzo poważnie i szczerze podnosi poziom dojrzałości emocjonalnej, intelektualnej i społeczno-moralnej. Bierze też czynny udział w badaniach wychowawczych w zakresie prowadzonego przez szkołę pedagogicznego eksperymentu maturalnego, który uzyskał aprobatę i uznani zarówno dyrektorów okręgu lubelskiego, jak również Kuratorium Okręgu Szkolnego i Ministerstwa Oświaty.

Czy materiał dowodowy — wypowiedzi uczniów niezadowolonych ze szkoły — podniósł rangę dobrze postawionego problemu? Moim zdaniem znacznie ją osłabił. Cóżby to było, gdyby minister wysłuchał postulatów zniesienia stypendium w klasie I? Władomo co. Podnieśliby krzyk redzice. A może by zapytać rodziców, co myśla o karierze swych synów w TPP? Nie zdarzyło mi się widzieć ani matek ani ojców, którzy dobrowolnie abierali by swych pupilów ze szkoły. Zapewniam natomiast, że bardzo trudno namówić rodziców, aby zabrali syna do Technikum Mechanicznego dla pracujących. Bo zwykle au'orzy podobnych do cytowanych wypowiedzi nie bardzo lubią pracować. Sapientis satis!

Zygmunt Bownik

# Wystawa mistrzów młota

KOWALSTWO na terenie powiatu krasnostawskiego posiada odległe tradycje, o czym świadczą przylwile cerby z XVI w. Obecnie w powiecie pracuje ok. 300 kowali. Większość z nich trudni się naprawą narzędzi rolniczych, a niektórzy z nich, bardziej uzdolnieni, wykonują zdobione narzędzia pracy oraz przedmioty dekoracyjne na potrzeby mieszkańców miasta.

Taki napis widnieje na ścianie dużej sali (osmy z kolei, jaką otrzymało krasnostawskie Muzeum) — a pod jej ścianami ustawiono około stu zdobionych wyrobów kowalskich. Są to zarówno przedmioty użytkowe (zawiasy, świeczniki, siekiery, brzytwy) jak i eksponaty tylko zdobnicze (miniatury wieży, węże, smoki). Każdy przedmiot upięszonej jakąś ozdobą. Nie rodzajów ozdób, tytu mistrzów kowalskich wykonywało te przedmioty. Na ścianach powiększone zdjęcia kuzni.



Ples E. Bychawskiego z Borowa, pow. Krasnostaw

Fot. Tadeusz Smyk



Wąż E. Bychawskiego z Borowa, pow. Krasnostaw

Fot. Tadeusz Smyk

To wystawa kowalstwa urządzona kółtem Ministerstwa Kultury i Sztuki, a zorganizowana przez Wojewódzką i Powiatową Wydział Kultury oraz muzeum w Lublinie i Krasnymstawie. Otwarto ją w listopadzie 1966 r., czynna będzie do marca.

I nagrodę otrzymał kowal z Borowa Edward Bychawski. Jego prace to przeważnie zwierzęta, niekiedy wręcz fantastyczne. Dzielim jego ręk jest także imponujące zdobione żyrandole. Bychawski jest w ogóle ciekawym człowiekiem. Od młodych lat marzył o skonstruowaniu „perpetuum mobile”, a nawet podobno w młodości wykonał prototyp takiej maszyny z drewna. A już na pewno do ostrzenia narzędzi zbudował wiatrak, który obraca kamień. Wieś po trosze dziwi się, że niby po

co wiatrak, kiedy istnieje prad? Jednak każdy przynajmniej, że niby tak nie wygląda sierpa jak Bychawski, a „brzytwa” gdy zrobi, to jak fabryczna”. Bychawski ponadto w wolnych chwilach pisze wiersze.

Laureatami 3 drugich nagród są kowale: Józef Gaworzuk z Krasnostaw, Jan Białek z kol. Zastawie oraz Władysław Kulimowski z Borowa. Przyznano także 2 wyróżnienia i stopnia Adolifowi Sędziakowi z Żółkiewki i Lesnowi Chodorowskiemu z Olechowca. Wyróżnienia za udział w konkursie otrzymali: Eugeniusz Psujek z Borowa, trzech braci Pawiowskich — Władysław, Stanisław i Bronisław z Wólki Orłowskiej.

A oto kilka zdań z protokołu jury: „Konkurs pomimo niewielkiej liczby uczestników reprezentuje bardzo dobry poziom. Większość nadesłanych przedmiotów to: albo ściśle nawiązujące do tradycji, odznaczające się bardzo dobrą

dekoracją (Białek, Gaworzuk, Kulimowski), albo też bardzo interesujące i udane przykłady adaptacji form tradycyjnych do współczesnych potrzeb odbiorcy miejskiego. Na szczególną uwagę zasługują przedmioty o formach zwierzęcych wykonane przez E. Bychawskiego”.

Na drugiej ścianie sali wystawowej krótką historią kowalstwa. Obok standardu cechu murarskiego pochodzący z roku 1865. Pod tym standardem podczas uroczystości szły wszystkie cechy, a więc i kowalski. Długi czas był on przechowywany w miejscowym kościele, wreszcie, zgodnie z przeznaczeniem, trafił do Muzeum.

Zbigniew Uchnast

## Czas przechowany w zabytkach

# Zamek Firlejów w Janowcu

GÓRUJACE nad miasteczkiem Janowiec ruiny zamku Firlejów są pozostałością budowli narastającej tu w ciągu stuleci, złożonej z różnorodnych członów i niejednolitej stylowo.

Pierwsza siedziba Firlejów w Janowcu wzniesiona została przed 1537 r. Tego roku król Zygmunt Stary wyrażając zgodę na lokowanie miasta zaznaczył, że znajdować się ono będzie w pobliżu zamku „przez tegoż Piotra Firleja, kształtana willeńkiego, starostę radomskiego i kazimierskiego znacznym kosztem wystawionego”.

Zamek ten ograniczał się do budynków i murów otaczających obecnie wielki dziedziniec. Konfiguracja wzgórz, na którym zamek został usytuowany, narzuciła jego nieregularny plan, zbliżony do trapezu, podobnie jak np. w niedalekim Kazimierzu Dolnym. Sylweta zamku wzbogacona została prostokątnymi basztami i wyokragłonymi bastionami przystosowanymi do użycia broni palnej.

Prawdopodobnie już w czasie budowy lub wkrótce potem, ale jeszcze za czasów wspomnianego Piotra Firleja, elewacje zamku ozdobiono malowanymi pasami w kolorze białym i czerwonym. Ekspozycja na wysokiej skarpcie wyra-

ziła bryła zamku pocięta jaskrawymi kontrastowymi pasami, widoczna w promieniu kilku kilometrów, stanowiła niezwykle silny akcent w krajobrazie i była niejako punktem kulminacyjnym dla całej rozległej okolicy. Już więc w czasach Piotra Firleja Janowiecka siedziba Firlejów prezentowała się bardzo okazale.

Rozbudowy zamku janowieckiego dokonywane w drugiej połowie XVI w. koncentrowały się również w obrębie pierwszego dziedzińca. Inicjatorem tych prac był syn Piotra — Andrzej Firlej, który zatrudnił w Janowcu wybitnego artystę XVI stulecia, architekta i rzeźbiarza Santi Gucciego. Jego to zasługą było przekształcenie dawnej warownej budowli w okazałą rezydencję, której południowe skrzydło otrzymało charakter pałacowy. W dwu kondygnacjach zjawily się po trzy okazałe pomieszczenia w układzie amfiladowym. Okna tych pomieszczeń, wydłużone, zamknięte były półkolistą, a na zewnątrz ozdobione ruską. Komunikacja między piętrami odbywała się przy po-

mocy zewnętrznych schodów i drewnianej galerii.

Trudno natomiast ustalić czy w tym okresie powstały oryginalne dekoracje skrzydła wschodniego. Są to rysunki na tynku przedstawiające rządy pieszych rycerzy w strojach szesnastowiecznych, uszeregowanych w dwu poziomach. Obecna dekoracja jest już tylko kopią nie dającą podstaw do datowania rysunków pierwotnych.

W czasie kolejnych przebudów zamku w końcu XVI i pocz. XVII w., już za czasów następnego właścicie-

li — Tarłowa, zamek powiększony został do dzisiejszych rozmiarów. Przybyły wówczas zabudowania wokół dzisiejszego drugiego dziedzińca, które nie od razu otrzymały swą obecną formę architektoniczną. Z tego jednak czasu pochodzą cenne interesujące dekoracje sztukaterijne, wczesnobarokowe, których duże partie zachowały się do dziś. Skoncentrowane są one wokół otworów drzwiowych i okiennych oraz we fryzach znajdujących się pierwotnie pod stropami, a operują motywami geometrycznymi, roślinnymi



Fot. Mieczysław Kurzątkowski

i maskami liściennymi. Dobrym przykładem zdobienia tego typu jest pomieszczenie w wieży zachodniej nazywane pokojem Franciszki Kraszńskiej.

Długoletnią budowę i rozbudowę zamku w Janowcu zakończył Tylman z Gameraen, który pracował już dla Lubomirskich. Później uświetniano jedynie wnętrza i elewacje zewnętrzne, nadając im rokokowy charakter. Ta osiemnastowieczna dekoracja architektoniczno-sztukaterska jest zapewne dziełem artystów rzeźbiarskiego ośrodka puławskiego.

Lubomirscy byli ostatnimi właścicielami Janowca, którzy mogli podobać utrzymaniu tak obszernej rezydencji. Od początku XIX w. zamek popada w zaniedbanie i ruinę. W połowie XIX stulecia pozabawiony jest już dachów i tylko w niewielkiej części zamieszkały.

Z dawnej imponującej siedziby Firlejów, Tarłowa i Lubomirskich w Janowcu pozostały jednak do dziś znaczne fragmenty komnat, murów i wystroju. Ponieważ odbudowa całego obiektu jest już obecnie niemożliwa, czyni się starania o utrzymanie przynajmniej części tego niezwykłego obiektu, projektując jego adaptację na cele kulturalno-wypoczynkowe.

Alicja Kurzątkowska



**Sprostowanie sprostowania**

W związku z notatką (to był duży artykuł - przyp. red.) w „Kamieniu” z dnia 27.XI.66 dot. szkoły w Potoku Wielkim uprzejmie wyjaśniamy:  
1) Budynki szkolny z wyjątkiem szamba, gdzie wystąpił wysoki poziom wód gruntowych, został zakończony w maju 1965 r. 2) Roboty przy wannie grzewczej wykonano zgodnie z dokumentacją, do wykonania drenażu LPHO nie miało się posiadać ani MKR Krasnik nie posiadało ani MKR Krasnik ani sprzętu. 3) Kotły i silniki zostały uszkiełkowane. 4) MKR w Krasniku tylko dzięki operacji wykonania drenażu udało się doprowadzić do zakończenia robót w 1965 r. Jakżeś robót nie czyniła aniżeli na w/w innych jest gorzej - nawet w Lublinie. 5) Cześć obiektów - nawet w Lublinie. 6) Część obiektów - nawet na decyzję inwestora kamy były długie przy niewłaściwym terenie w sprawach, zniszczonych wskutek rozładunków, zniszczonych wskutek rozładunków terenu.  
Podaje wyjaśnienie na niektóre zarzuty (przetaczamy je w dużym skrócie z 3 strony maszynopisu - przyp. red.) nie silił się na „odwołanie red.” przypuszczamy, że prawdziwie podobnie. Sad. Powiatowy w Janowie prześle zarządzie dolegliwie poznać przyczynę zarządzenia stanu i zmianie stacyni zaistniałego opinii rzeczoznawcy na podstawie opinii rzeczoznawcy. Dodając do tego trudności znawców i błędy popełnione przez kierownic wo budowy uzyskamy efekt przedstawiony w notatkach prasowych. Ośmielamy się stwierdzić jednak, że podobnych przykłądów na Lubelszczyźnie spotkać mogliśmy dużo więcej. Tam jednak problem ten umiemy rozwiązać.

Kierownik Grupy Robót inż. EDWARD MIROWSKI

**OD REDAKCJI:** zaskakujące są wyznaczenia, zawarte w ostatnim akapicie, całkowicie zaprzeczające poprzedni wyznaczenie jak też w pełni potwierdzające efekt przedstawiony w notatkach prasowych. Chodziło o nasz artykuł i notatkę w „Kurierze Lubelskim”.

**Romanizym nie Ratoid**

Przypuszczam, że nie bez świadomej zgody ś.p. Ratoida uiarło się w okresie międzywojennym przekonanie, iż właśnie Ratoid jest pierwszym wykonawcą ulubionego przez wiele lat przez publiczność polską znanego wówczas szlageru-piosenki „Szumiały mu echa Karwiarzi”. Błędny ten pogląd przetrwał do dnia dzisiejszego, robiąc tym krzywdę moralną pamięci niezjącego już dziś znanego wówczas śpiewaka operetkowego i wieloletniego członka ZASP Bronisława Romaniszyna. On był prawdziwym pierwszym wykonawcą tej piosenki, ale nie umiał czy też nie chciał zaprzeczyć pierwszeństwa.

STANISŁAW WĘGRZYN Łódź

**Gdzie są koziołki?**

Wiele słyszałam i czytałam o koziołkach, wyrabianych ze słomy w Tarnogrodzie, woj. lubelskiej. Mają jakiś niewytki urok, prostotę i wysoki kształt. Wiem, że tysiącami wysyła się je do Szwecji i innych krajów. Dlaczego jednak nie można ich kupić w sklepach z pamiątkami lub w oddziałach CPWA w innych województwach? Byłam od



BRONISŁAWA MALISZEWSKA Kielce

**Milliony na drogach**

„Kamena” kilkakrotnie pisała o turystyce, zajmując się oczywiście przede wszystkim naszymi 4 województwami. Wykazywała, jak wielkie korzyści - w zdrowiu dla turystów, w pieniądzu dla organizatorów - daje turystyka. Rok bieżący został proklamowany przez ONZ międzynarodowym rokiem turystycznym. Z tej okazji może warto przytoczyć kilka cyfr z miesięcznika UNESCO „Le Courrier” - w bilogii nadziei, że z zachęci to nasze władze do powzięcia tego traktowania turystyki, do inwestowania w przedsięwzięcie, które okazuje się niezwykle dochodowe. Otóż w 1965 r. w 110 krajach należących do ONZ zarejes rowano 115 milionów turystów, nie licząc 130 milionów pasażerów linii lotniczych, którzy w pewnym sensie są także turystami. Jeszcze chodzi o samych turystów, wydatki ich obliczono na 57,30 milionów dolarów. Z tego największą sumę zainkaszowali Hiszpanie - 2,175 mln, nas epnie Hindusi - 2,116 mln, Meksykanie - 1,321 mln. Nasz Przyjaciele jugosłowiańscy znaleźli się na 7 mie scie, zarabiając 1,20 mln dolarów.  
Oczywiście w turystyce trzeba najpierw inwestować, a dopiero po em na jest zarabianie. U nas, niestety, często jest odwrotnie - chcemy zarabiae nie nie wkładając, bez hoteli, campingów, restauracji, pamiątek itd. Drogi są już znacznie lepsze, ale to przecież nie może wystarczyć.

K. SKROWACZYNSKI Białystok

**od BIEBRZY  
NO BIESZCZADY**

**BIAŁYSTOK**

- Uniwersytet Robotniczy ZMS w Białymstoku rozpoczął już kurs przygotowawczy na wyższe uczelnie, obejmujący nauki techniczne (politechnika i WSI) oraz prawo.
- Zarząd Wojewódzki PCK zbiera materiały o 50-letniej pracy tej organizacji na Białostocczyźnie. Chodzi o różne wydawnictwa, dokumenty, wspomnienia, pamiątki.
- Staraniem BWA i oddziału ZPAP w Muzeum odbyła się okręgowa wystawa członków oddziału ZPAP.
- W kinie „Sputnik” w Mońkach otwarto tzw. scenę amatora. Raz w miesiącu będą się produkowały amatorskie zespoły estradowe, teatralne i recytatorskie z powiatu. Dla widzów wstęp bezpłatny, dla wykonawców nagrody.
- Na 18 bibliotek pedagogicznych w województwie 17 wzięło udział w konkursie na najlepszą imprezę krytyczną 1968 r. Pierwszej nagrody nie przyznano, drugie otrzymał kierownicy

bibliotek: Janina Dyczewska z Augustowa, Janina Bureł z Dąbrowy Białostockiej i Władysław Grzegorzewski z Suwałk.

**KIELCE**

- W podróz po województwie wyruszyła wysiawa fotografii reportażowej red. Bronisława Dudy „Moskwa - Wołgograd - Morze Czarne”, złożona z 50 fotografii - Morze.
- W foyer Teatru im. Zeromskiego odbyła się wystawa jesienna plastyków okręgu kieleckiego ZPAP. Niestety, wzięła w niej udział tylko piątą część zrzeszonych plastyków.
- Przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW zorganizowano Klub Młodych Pisarzy. Skupia on 18 osób - nauczycieli, agronomów i rolników.
- W kieleckim Klubie MPiK odbyła się wysawa malarstwa Jadwigi Trzcinańskiej, od 10 lat specjalizującej się w akwarali.
- W Pińczowie trwają prace przy organizacji Muzeum Poniadzi, które ma mieścić się w odrestaurowanym bu-

dynku zabytkowym „Heiweder”. Jedna sala zostanie poświęcona Adolfowi Dygańskiemu.

Teatr amatorski „Świt” Domu Kultury Zakładów Metalowych w Skarżysku otrzymał z okazji XX-lecia odznakę „Za zasługi dla Kielecczyzny”. Teatr w ciągu 30 lat dał 90 premier, spektakle obejrzało pół miliona widzów.

**LUBLIN**

- Podczas spotkania z przewodniczącym WK PJJN Władysławem Kozdrą 49 dziennikarzy lubelskich otrzymało odznaki Tysiąclecia, a 21 dyplomy uznania. Z „Kamenny” odznaki otrzymali - Mirosław Derewski i Jerzy Dostali. Ponadto Roman Łosiński ze „Sztandaru Ludu” odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi.
- Członek oddziału lubelskiego ZLP Maria Bechczyk-Rudnicka, współpracowniczka „Kamenny”, została wybrana do komisji rewizyjnej Penultu.
- Zespół urbanistów z Woj. Pracowni Urbanistycznej pod kierownictwem inż. arch. K. Majewskiego zdobył I miejsce w ogólnopolskim konkursie na opracowanie planu zagospodarowania ośrodka ponadgrodzkiego.
- W 90 rocznicę urodzin Andrzeja Struga w I Studium Nauczycielskim, do którego kiedyś uczęszczał Struga, odbyła się sesja poświęcona pamięci pisarza, otwarto tam również zaczątek muzeum. Obecna była wdowa po pisarzu p. Nelly Strugowa.

Wydział Kultury Prez. PRN w Zamocisku planuje urządzenie w czwartki i Festiwalu Pieśni Ludowej Polskiej Wschodniej.

**RZESZÓW**

- W Jarnoluwie odbyła się sesja popularyzatorska „30 lat organizacji harcerskiej woj. rzeszowskiego w wychowaniu młodego pokolenia na postępowych tradycjach narodu polskiego”. Sesja była połączona z wystawą „30 lat harcerstwa na Rzeszowszczyźnie”.
- Sesja popularyzatorska urządzono również 5 owarzyszenie Przyjaciół Ziemi Krosińskiej. Była ona poświęcona przeszłości i teraźniejszości powiatu.
- Nie można powiedzieć, aby w Przemyslu dbano o tych, którzy chcą kupić książki. Księgarnia przy ul. Grunwaldzkiej najpierw była zamknięta z powodu remanentu, potem przyjęcia towaru, a wreszcie kontrolnego spisu towarów. Razem pół roku.
- Na konkurs „Człowiek w malarstwie”, ogłoszony przez Wydział Kultury Prez. MRN w Rzeszowie i oddział ZPAP, wpłynęło 25 prac. I nagrodę uzyskał Edward Kiefferling z Jarosława, dwie II Tadeusz Kozioł i Marian Stroński.
- Ponad 4 mln zł dochołu przyniosła loteria fantowa, przeznaczona na zasilenie funduszu na budowę Młodzieżowego Domu Oświaty ZMW w Zalesiu. W sumie jest już 15 mln zł - w tym 5 mln z dotacji Prez. WRN.

**Maria Federowiczowa  
zapomniana aktorka**

(Dokończenie ze str. 7)

jej sztukach dynamiki, brak ostrości i „cynizmu” Zapolskiej. W każdym razie Federowiczowa jest postępową. Krzywda bezkarnie poniewieranych jest dla niej ciągle bliska. Jest też przy nich całym sercem.

W mieszczańskie atmosferze tamtych czasów sztuka w tej formie nie mogła wywrzeć wrażenia. Z treści akcji nie wyczytano problematyki społecznej, bo nie była podana dosłownie. Na domiar złego krzyłka zarzucała jej... bezsensowność.

Dalekim echem odezwie się problem krzywdy ludzkiej także w „Na przepadłe”, w historii b'ednej Zosi, krzywdzonej w określonych stosunkach społecznych.

Współcześnie nie zrozumiemo tych sztuk. Ich podtekst krytyczno-społeczny przytumiła zbytnia „melodramatyczność”. Ich sens wyjaśniła Federowiczowa, gdy w Lublinie w czasie jednej z licznych wówczas demonstracji, w 1917 lub w 1918 r., szła na czele pochodu dzierżąc czerwony sztandar.

Ale skąd taka decyzja u b'ednej żony adwokata - Włocha Lorenzo Valerii, mieszkającej wiele lat w Alejach Ujazdowskich, w reprezentacyjnej części Warszawy, żyjącej wszystkimi sprawami arystokracji warszawskiej?

Scójrmy do dokumentów Archiwum Akt Dawnych Miasta Stołecznego Warszawy. W „Aktach Parafii Nawiedzenia NMP” - sygn. I-19/180/1871, str. 45, rewers - czytamy:

„Działo się to w mieście Warszawie roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego, dnia 1 maja, o godzinie siódmej po południu stawił się osobiście Fridrik Ohmencetter, bednarz, lat dwadzieścia dwa i w obecności świadków Edwarda Gosławskiego, krawca ... i Stanisława Zurawskiego służące-

go... mieszkających w Warszawie okazał nam dziecie pięci żnińskiej, urodzone w tymże mieście... w dniu dwudziestym drugim kwietnia bieżącego roku, o godzinie czwartej rano, z ślubnej jego małżonki Pauliny z domu Piekarskiej, lat dwadzieścia sześć. Dzieciątka na chrzcie świętym... dano imiona Augusta Paulina...

Kazimierz Parafianowicz

**Listy  
Barbary  
Zamoyskiej**

(Dokończenie ze str. 5)

10 II 1608 r.) Barbara Zamoyska pisze: „Sierotaś, cierpieć musisz. Ale Pan Bóg sprawi, że cię nie opuszczy. Wiedz, że ojciec ojca twego w małych majostwach odumiał, a za błogosławieństwem bożem i cnotą do takich był przyszł, jakiego pozostawił”.

Oto niektóre tylko fragmenty tych pasjonujących listów. Pisała je Barbara Zamoyska w latach 1605-1610 (Tomasz miał wówczas 11-16 lat). Poulność tej korespondencji pozwala „otrzedzić” do tajemnic skądinąd zupełnie niedostępnych. Listy Barbary Zamoyskiej wolne od konwencyonalnych frazesów, od wielu przemilczeń i niedomówień pozwalają wnikać i to bardzo głęboko we współczesną rzeczywistość. Listy te są również ważnym materiałem dla studiów nad ówczesnym językiem. Doniosłość ich dla badań językowych jest tym większa, że pisane są ręką Barbary Zamoyskiej, a nie ręką jej sekretarza. Obecnie listy te - jest ich 40 - znajdują się wśród rękopisów Archiwum Zamoyskich Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie pod sygnaturą 292.

Adam Andrzej Witusik

**Konkurs**

WKZZ, WDK i TPRP w Lublinie ogłaszają konkurs na scenariusz repertuarowy o tematyce związanej ze zbliżającą się 50 rocznicą Rewolucji Październikowej. Konkurs obejmuje dwie kategorie materiałów: dla zespołów artystycznych (montaże i wybory pcezi, prozy, dokumentów, twórczość własna) oraz scenariuszy imprez dla placówek kulturalnych. Brane będą pod uwagę przede wszystkim następujące kryteria: wychowawcze i kształcące, walory literackie, łatwość realizacji i możliwość wykorzystania programu w różnych warunkach.

Termin nadsyłania prac opatrzonych godłem do 1 marca 1967 r. do

WDK na Zamku, który zarazem udziela bliższych informacji. W każdej kategorii przewidziano nagrody: I po 2 tys. zł, II po 1,5 tys. zł i III po 1 tys. zł.

**NAJLEPSZĄ FORMĄ  
TERMINOWEGO  
OTRZYMYWANIA  
„KAMENY”  
JEST PRENUMERATA**

**Przegląd  
PRASY**

**R**OZMOWY sąsiedzkie „KULTURY I ŻYCIA” (dodatku do „SZTANDARU LUDU”) okazały się imprezą dosyć pożyteczną; wniosły one pewien zasób informacji o tym, co się dzieje w środowiskach artystycznych Lubelszczyzny oraz jakimi one żyją problemami. To był właśnie zamiar redakcyjny, który miał prowadzić jeśli nie ku współżyciu tych środowisk, to przynajmniej ku wzajemnemu poznaniu. Bo integracja, do której tyle się wzdycha, jest sprawą dosyć odległą.

Rozmowa z plastykami ukazała stan posiadania tego środowiska twórczego, najliczniejszego w Lublinie. Na 88 plastyków jest jednak tylko 19 pracowni, a niektóre z nich to raczej mieszkania, niż pełnowartościowe miejsca pracy twórczej. Lubelskim plastykom brak jeszcze wielu innych rzeczy: swojej siedziby czy po prostu miejsca spotkań i dyskusji, ograniczone są możliwości ekspozycyjne. Biuro Wystaw Artystycznych prezentuje inne ośrodki, ale lubelskiego ośrodka nie pokazuje się gdzie indziej. Korzyści są więc wybitnie jednostronne.

Niektóre wypowiedzi plastyków budzą jednak uwagi kontrowersyjne. Rozmowę z plastykami trudno uważać za zakończoną.

Szerzej punkty odniesienia do dyskusji nad sprawą plastyki dał Jerzy Ludwiński w artykule „Bania z malarstwem”, wydrukowanym w „ODRZE”. Na marginesie sympozjum puławskiego snuje ciekawe uwagi na temat funkcji rozmaitych plenerów i terenowych spotkań plastyków, w których twórczość łączyła się niekiedy - jak w Puławach - z interesującymi i ważnymi dyskusjami. Stwierdza, że ruch artystyczny nie znajduje właściwego odzwierciedlenia w prasie, Ludwiński pisze, że „cały ten ruch, zaznaczający się wybuchami coraz to nowych sympozjów, plenerów, festiwałów wyraża konieczność spotkania artystów, konfrontacji, wymiany informacji za wszelką cenę”. W swej obecnej postaci ma on b'edno wybitnie socjalistyczne poprzek uruchomienie na wielką skalę mecenatu społecznego:

„Wszystkie opisane tu uspaniałe imprezy - pisze krytyk - to nie pokaz - jak by się mogło wydawać - artystycznej tężyzny i skuteczności, to rozpacze próby nadrobienia braku kontaktów w sytuacji, w której wszelkie środki przekazu informacji są po prostu niedostępne. Zjawili się więc inny sposób komunikowania się artystów między sobą. Te bowiem wędrujące centra sztuki stały się nie tylko jaką trybuną, służącą wymianie poglądów często lepiej niż konformistyczne artykuły w prasie, radiu i telewizji. Spełniły one także inne ważne zadania: zbliżenia sztuki do społeczeństwa; w Fibliagu i Puławach inżynierowie i robotnicy zostali uciążliwie bezpośrednio do gry, byli przynajmniej do jakiegoś stopnia współtwórcami dzieł sztuki. Kończące toasty artystów i robotników upłynęły w atmosferze serdeczności i wzajemnego poznanowania pracy, szczególnie tej, która dotychczas wydawała się dziwna i niezrozumiała”.

W „WIDNOKRĘGU” (dodatku do „NOWIN RZESZOWSKICH”) Krystyna Świerczewska pisze o jubileuszu rzeszowskiego oddziału To-

warzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Oddział ten należy do najmłodszych w kraju, ale ma wykrystalizowane ciekawe formy działalności. Sesje naukowe, odczyty, „polonistyczne czarne kawy” stwarzają szerokie możliwości popularyzowania literatury i dyskusji o niej. Stwierdza autorka, że dorobek rzeszowskiego oddziału Towarzystwa „wydaje się bezsporny i zasługujący na uznanie, jesteśmy bowiem świadkami pracy uporczywej, konsekwentnej i skierowanej do określonego odbiorcy, jakim jest bądź to przyjaciel literatury, bądź to człowiek parający się nią zawodowo”.

Ten właśnie adresat - przyjaciel literatury - wydaje się momentem bardzo istotnym, podobnie jak ścisła współpraca z nauczycielstwem i miejscowymi polonistami. Ostatnio oddział rzeszowski rozpoczął własną działalność naukową - wydawniczą. Dzięki temu i dzięki wysiłkowi grona działaczy oddział ten staje na pozycjach poważnej placówki mającej szanse pójścia w ślady innych ośrodków naukowych, nie rezygnując z mądrego upowszechnienia literatury.

Przegląd ten opiera się na serwisie świątecznym, niech więc na zakończenie będzie coś okolicznościowego. Lech Winiarski w „MAGAZYNIE NIEDZIELNYM” kieleckie „SŁOWA LUDU” w felietonie „Grudniowy relaks” wyprowadza ze świątecznego tematu refleksje zgola nieswiąteczne. Stajnia i żłób - to dla felietonisty apoteoza najbardziej ludzkich cech: prostoty i skromności. Stąd przejście na grunt bardzo aktualny:

„My wszyscy, pracujący w niełatwej często sytuacji, w pośpiechu, często w zdenerwowaniu - oczekujemy w nagrodę nie tylko zapłaty, lecz także - a może na równi - uznania, szacunku przełożonych (...). Od przełożonych, szefów - od wszelkich przedstawicieli władzy oczekujemy obok porządku, jasnych decyzji i stanowczości - życzliwości, sprawiedliwego traktowania, poszanowania naszej godności”.

Jednego tylko akcesorium betlejemskiego nie znosi się dzisiaj, nie pasuje ono do współczesności: „Nie cierpi naród kadzidla”.

T. K.

**»KAMENA«**

Pismo Lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielicki, Jerzy Dostali (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski - członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny) i Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki).

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławskie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7, tel. 234-49.

Zam. 4137, 13.XII.66. P-3.

# Kochane żmije

**L**  
N — 74 lata. Ona — 70. Mają trzech synów. Synowie mieszkają w miastach, pozakładali rodziny. Jeden jest inżynierem, drugi lekarzem, trzeci pracuje na kolei. Rodzice przebywają w wsi. Według domowego zwyczaju, rodzice w kilka miesięcy. Gdy pada deszcz trzeba na podłodze stawić dzbany i miski. Gleba tutaj marna, piętę kła-

sy. Mają niecały hektar, ale i tak część ziemi leży odłogiem. „Nie mam siły pracować — mówi starszy. — Rok temu zżniżała mnie grypa i do dzisiaj nie mogę się wyzrebać...”. „Synowie wam nie pomagają?”. W odpowiedzi — bezradne rożnienie rąk. „Ten najmłodszy, co to jest na kole, przysłał na wiosnę 300 złotych. Starsi nawet nie napiszą. Ale takie już życie...”

II.  
„A, ojciec przyjechał...” I po chwili: „Co ta gęś taka chudzi? Przecież ja trzeba najpierw podhodować... Masło też jakieś niewiezie... Ale ten kochanek ojca smierdzi... Niech się ojciec wymyśli...”

Stolek z miednicą córka wynosi na klatkę schodową. Lazienka jest taka czysta...  
III.  
Miała już lat ponad siedemdziesiąt. Wychowała im dwoje dzieci, prowadziła całe gospodarstwo. Potem powaliła ją choroba, długie miesiące musiała leżeć w łóżku. Ot i kłopot!  
Ustosunkowany syn załatwił jej miejsce w domu starców. „Tam mamusia znajdzie dobrą opiekę. Nam jest ciężko, nie mamy rady”. Uśmiechnęła się blade.

Kiedy odwoził ją do domu starców, pytał nieszczęśliwy: „A może mamia jeszcze zostanie?”. „Nie będę wam robiła kłopotów...”. „Nikomu już nie robiła. Umarła po kilku dniach. Syn spłonił się na pogrzeb. Nie mógł wytrzymać...”

IV.  
Nie chce odjeżdżać z sanatorium. Placek, kiedy nachyla się nad nią lekarz. Lekarz mówił: „To już nie to samo serce. Dobrze pani zrobiła ta kuracja...”. „Panie doktorze, dokąd ja pojedę?”. „Ma pani przecież, słyście, syna i córkę...”. „Syn powiedział, że mnie stracił za schodów, że dla starych nie powinno być miejsca na świecie. A córka jest sama, ma ją porzucił, wychosł dwie dzieci i ja jestem dla niego tylko ciężarem. Tu, w sanatorium, dopiero znalazłam dom...”

V.  
Skóra i kości. Aż dziw, że jeszcze chodzi. Puka do mieszkań, stoi zakłopotana, nie może wypowiedzieć słowa. Tu dostanie kromkę chleba, tam 50 groszy, czasami ktoś laskawie da i z złote, ale często też drwi zdrażkąją się i strąca: „Nie nie damy, co to za żebraniina...”

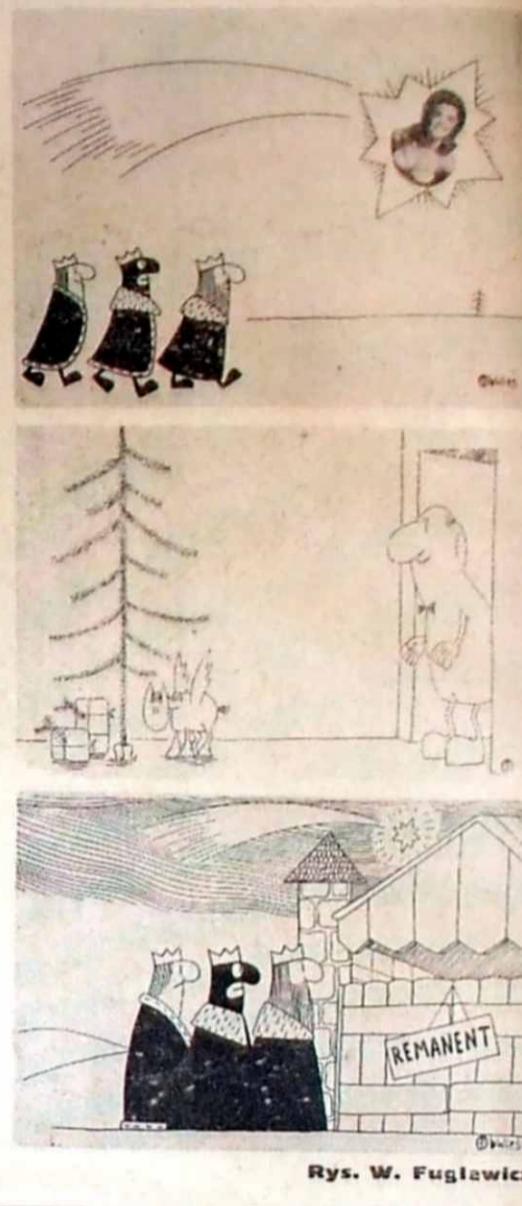
„Nie ma pani dzieci?”  
„Mam syna w Warszawie. Rozmawia ze mną na korytarzu, nawet do pokoju nie wpuścił. A wnuk krzyczy: — Znowu ta czarownica przyjechała!”

VI.  
Mieszka z wankiem, dwudziestoletnim, nigdzie nie pracującym. Już rano wygania ją z domu. Staje najczęściej przed kościołem, wymusza różaniec, przebiega paciorki. Ktoś jej czasem wetknie do ręki jakieś grosze, prosi o modlitwę za spokój duszy.

W południe wpada do baru mlecznego, prosi o najtańszą zupę i dużo chleba. Znowu wraca pod kościół. Wieczorem wysuępuje groszaki i kładzie na stole. „Co, tylko tyle przyniosłaś? Ty coś kręcisz... Jak ci dam w mordę...” Kurczy się, aby nie dostać po twarzy od wnuka. Wnuk zgarnia monety. Wrócił o północy pijany jak o dzień.

VII.  
Stary, niepotrzebni ludzie. Kochający synowie. Kochające córki. Kochane żmije.  
Ale i żmieje się starzej. Staba to pociecha...  
MAR

# Żarty poświęczone



Rys. W. Fuglewicz

# MINUTA MYŚLENIA

# Niemy krzyk

**N**IEDAWNE święta dały mi znowu sposobność do zadumy na temat... Myśliście, że tych wszystkich błyskotek i piękności, które prowadzą pamięć ku radośnym dniom dzieciństwa? Owszem też. Ale równie cierpienia i obojętności. Nierozumienia i obojętności na to ze strony człowieka. (Czy więc człowiek?)

Nagminna scenka. Zważona i sprzedana ryba wędruje do torby, siatki, koszyka. Z reguły — ni kropki wody. Ryba się rzuca, szpazmuje. Oczywiście — bezgłośnie,

więc nie narusza tym przynajmniej sumienia człowieka. Jedyną jego troską jest poskromienie odruch samobrony niemego i bezbronno stworzenia. I nie jest wykluczone, że nawet po przyniesieniu do domu ryba nie znajdzie się w naczyniu z wodą.

Maluteczka propozycja. Zatkajmy sobie nos i zamknijmy usta. Wyrwajmy tak (no — minutę). Jak się czujemy? A uprzytomnijmy sobie w jakim stosunku znajdujemy się nasza minuta do czasu, na jaki oddajemy dopływ tlenu rybie.

Tak, proszę pani. Jest pani wrażliwą matką, słuźczenie kolanka Malgosi, czy skaleczenie paluszka Andrzejska wabudza u pani tkliwość i potrzebę pomocy, no cóż, czule kobiecie serce. I czule kobiecie serce nie pani nie mówi, kiedy kupiony przez panią karp tłucze się w siatce konając całą godzinę?

Tak, proszę pana. Jest pan subtelny natura, to widać z pańskiej wygład, wartości moralne stawia pan wysoko, „homo sum” i tak dalej, system pańskich kry-

teriów i ocen nie może budzić wątpliwości. I jakoś to wszystko trwa sobie w najpiękniejszym samopoczuciu wobec rozpaczalnej agonii żywego stworzenia, czego jest pan przecież naocznym świadkiem i sprawcą.

Doprawdy, przerażające jest to skosinienie sumienia, ta (zwierzęca) przeczucie ludzka niewrażliwość na cierpienie, jeśli to cierpienie doznawane jest przez kogoś, czy przez coś innego. Z jednej strony wielka męczarnia śmierci przez uduszenie, z drugiej — mała niewygoda z wiaderkiem. W konsekwencji oszczędzamy sobie małej niewygody, nie oszczędzamy rybie wielkiej męczarni. I nawet nie odczuwamy przez to najmniejszego uczucia choćby tylko niesmak. Niemak! Przecież już na n a s z wyłączenie rachunek. Taką rybą będzie nam jeszcze s m a k o w a ł.

Nie jestem świętym Franciszkiem z Asyżu i zdaje sobie sprawę z wielu konieczności. W przyrodzie też jedno stworzenie pożera drugie. Ale pojęcie humaniz-

mu i humanitaryzmu nie jest chyba piteczką do zabawy w dyskusję. Jest składnikiem światopoglądu, a światopogląd ma to do siebie, że wyraża stanowisko wobec wszystkich spraw i zjawisk. Tłumaczenie robi karierę w artykułach, natomiast praktykę powszednią w tym wypadku narusza kulturowo i wyraźnie zawężonym systemie ocen etycznych. Blazego coś takiego ma dominować nad prawdziwie ludzkim odruchem ulżenia w cierpieniach istot, której i tak odbiera się życie?

Dziwi mnie również fakt, że głos w sprawie tak oczywistej, tak dopominającej się o ingerencję ma wszelkie właściwości głosu na puszczy. Gdzie jakiś artykuł? Gdzie jakiś felieton? Rubryki i rubryczki pejąją od wymyślonych porad sercowych, od wskazań, jakiego zwrotu użyć w liście do pół-znajomej, a nikt nie stanie w obronie — tak — deplatanego godności ludzkiej. Milczenie ryby i milczenie człowieka. Jakże różne!

Ijon

# BIG-BEAT

# Wesoło-smutnie

**P**ANIE Redaktorze! Ferie zimowe, święta, czas obżarstwa i lenistwa. Nareszcie mogę wysypać się za cały semestr, nie ganiam zjadanych na wykłady i ćwiczenia, nie czytam tego, co muszę, ale to, co chcę. A zalety mam niewątpliwie!

Czy zwrócił Pan Redaktor uwagę na zajmujący felieton, szkice, rozprawę, czy jak to nazwać, Melchiora Wańkowicza pt. „Boje o humor?” („Kierunki”, nr 51, 52). „Ponuractwo — zakreśliłem czerwonym ołówkiem — zadaje ranę zdrowemu organizmowi. Formuluje się strup obojętności odcinający od sztywnej mowy. Na tym żeruje infekcja negacji. A przecież negacja (a nie krytyka) jest tak obcą normalnemu organizmowi społecznemu, tak samo jest produktem zaognienia, jak są nim bezlenność atakujące zranione miejsce...”

Nie będę ponury, jak Hamilton w swym świątecznym felietonie, chociaż nie trzeba sięgać aż do tytułów cesarzy, aby udowod-

niać, że życie ludzkie jest tanie. W czasopiśmie „Ramparts” ukazała się fotografia wietnamskiego dziecka poparzonego amerykańskim napalmem. Dziecko nie może zamknąć tego, co pozostawiło po sobie, ale nie może zamknąć tego, co pozostawiło po sobie.

Może „Przekrój” pokazać kiedyś swoim czytelnikom to wstrząsające zdjęcie, na razie jednak zamieszcza inne z taką informacją: „W tym roku najpopularniejszym w USA upominkiem dla dzieci jest lalka „wesoło-smutna”, której wyraz twarzy zmienia się od pogodnego uśmiechu, aż po strumienie łez... Dla dzieci duża zabawa. A dla starszych?”

Obiecałem, że nie będę ponury. Postaram się więc przybrać tę „wesoło-smutną” twarz lalki, którą może kiedyś zobaczę w komisji. Przychodzi mi to łatwiej, gdyż przed chwilą przeczytałem właśnie rewelację Marii Osiadacz w 25 nr-ze „Prawa i Zycia” pt. „Smaczność?” Rzecz o kantonach w Stołecznym Zakładzie Gastronomicznym. „Poszczególne fakty — pisze autorka — zacierpięciem z dostępnego już materiału budują nie tylko obraz przykłej, ale i zdumienie. Weźmy przykładowo wysoko uposażonego średniego personelu restauracyjnego. Władom, że bufetowe zarabiała około 1200 zł. Wiadomo również, że bufetowa odpowiadała maerialnie za wszystko, co znajduje się w bufecie, ponadto m. in. ma obowiązek rozliczyć się z bufetem po różnych napojach. Zdarzało się, że w dniu wypłaty obciążenie materialne bufetowej wynosiło grubo więcej aniżeli jej pensja. Ba, zdarzało się nawet, że bufetowa przychodząc po pensję miała już przygotowane rozliczenie swoich ob-

ciążen i zwitek banknotów na opłacenie wszystkich, co przekraczało jej pobory. Nikogo jakoś nie dziwiło, skąd bierze nie tylko na te opłaty, ale przede wszystkim na życie!”

Maria Osiadacz wyraża zdumienie. Może by tego zdumienia nie wyrażała, gdyby kiedyś zdarzyło się jej zobaczyć, jak m i e s z k a j a niektóre bufetowe. Raz zaprosił mnie do siebie kolega, którego ojciec jest miernym urzędnikiem którejś z tamych grup, a matka pełni szacowną funkcję bufetowej w gastronomii. W jednym z pokoi zauważyłem: trzy dywany, węgierski telewizor z dużym ekranem, niemieckie radio, niemiecka maszyna do pisania, czeski magnetofon. W kuchni stała polska lodówka i radziecki odkurzacz. Mamy i taty nie było w domu. Połączali za miasto. Nie muszę dodawać, że nie PKS-em...  
KTT w „Kulturze” pisze: „Opowiadał mi kiedyś kierownik pierwszorzędnego lokalu gastronomicznego, że w zasadzie stara się on nie zatrudniać kelnerów, którzy nie starabają — w formie napiwków — od 500 do 1000 złotych dziennie. Jeśli bowiem kelner, obsługując, powiedziemy 100 stólków w ciągu dnia (a w zasadzie obsługuje ich więcej) nie dostanie przy rachunku 5 do 10 zł napiwku, znaczy to, że kelneri zostali obsługani źle. Nie warto zatrudniać złych kelnerów...”

Panie Redaktorze! Gdyby Pan tak mógł, gdy skoczysz studia, postarać się dla mnie po znajomości o taką posadkę! Dałę słowo, że będę między Bugiem a Odrą najuprzejmiejszym człowiekiem pod słońcem!

Dość marzeń! Zejdźmy na zachlapaną ziemię. Red. (2) doniósł

„Sztandarze Ludu”, że „klient nie zawsze ma rację”. A o to uzasadnienie tego bądź co bądź niedziennego stwierdzenia: „W dniu 21 hm. w jednym ze sklepów przy Krakowskim Przedmieściu klient kupował dziecięcą odzież. W sklepie było mokro (bloto), oglądany przedmiot spadł do kałuży i wybrudził się w dostateczny sposób, by go uznać za zniszczony. Klient nie chciał zapłacić, obsługa sklepu nie chciała przyjąć towaru. Interweniowała milicja. Klient w końcu zapłacił, bo nie miał racji...”. W konkluzji red. (2) pisze zaskakująco: „A swoją drogą na kałużę brudnej wody w sklepach też trzeba jakoś zarządzić. Podobnych do opisanego wypadków może być więcej!”

Redaktorze (2)! Na całym świecie istnieje wycieraczki, szmaty, drewniane żeberka, które można posawić na podłodze i wiele innych superwynalazków XXI wieku, które przez przypadek zostały odkryte jeszcze za czasów rzymskich cesarzy. Owe superwynalazki nigdy nie będą jednak stosowane w lubelskich sklepach, jeśli klient będzie płacił za to, czego nie kupił i jeśli w dodatku lubelska MO będzie go do tego zmuszała.

Teraz przed pójściem do sklepu odzieżowego kupię butelek stołarskiego kleju. Posmaruję palce i będę pewny, że nie mi spadnie na zabłoconą podłogę. Obawiam się jednak, że inni też wymyślą ów sposób i klej po prostu „wyjdzie”. Bo w handlu towar łatwo wychodzi. Handlowcy trudniej, a jeśli już — to w określone miejsce.

Jacek

# HYDE-PARK

**P**RZYNAJEMY lojalnie: tytuł tej rubryki pożyczaliśmy ze „Szpilek”. W londyńskim Hyde-Parku (według wiarygodnych źródeł) jest takie miejsce, gdzie każdy może głośno mówić, co mu się podoba lub nie.

W kalendarium Hyde-Parku będziemy publikować co ciekawsze utwory naszych czytelników — wiersze, fraszki, które nie zmieściły się w numerze. Za udzielenie miejsca w Hyde-Parku żadnej opłaty nie pobieramy. Na specjalne życzenie autorów może my nawet podawać ich imiona i nazwiska.

Dziś pierwsza porcja materiału. Głos ma p. S. U. z Łodzi, który m. in. pisze w liście do redakcji:

„Prosił bym bardzo, gdy wiersze przypadną do gustu Panu. Aby mnie zawiadomiono o tym, a ja ze swej strony postaram się pisać jeszcze lepiej i prościej. Ponieważ pragnął bym aby trafiły one do szerokiego rzesz waszych czytelników...”

A oto wiersz p. S. U. pt.:

**DLA WANDY**  
Kiedy płyną drobne łódki  
tylko nie przyrzekaj, że nie pijesz wódki.  
Bo gdy nie skończysz  
w ten czas losu nie polączysz.  
Milość w pierś nie gorzej,  
jak ten deszcz co dzisiaj leje.  
Twoje słowa w mej pamięci  
pozostały i to bardzo mnie męczy  
Nie chęć długo cię zanudzić,  
nie myśl o tym, że to obłuda.

Łódź, dnia 17 grudnia 1966 rok

# NOTY i notki

**KTO TO JEST „OSOBA PRYWATNA”?** Jaka jest różnica pomiędzy „osobą prywatną” a poszczególnym obywatelem? Kto nie wie, niech napisze podanie o wyjaśnienie do Prezydium MRN w Krańniku, które użyło takich właśnie sformułowań w ogłoszeniach (np. „Sztandar Ludu” nr 302) o wyłożeniu planu szczegółowego tego miasta — i to od ul. Cmentarnej poczynając.

O BRZYDKICH RZECZACH można rozmyślać przy czytaniu niektórych recenzji. Oto co pisze TAW w „Słowie Ludu” (nr 353) o filmie „Zejszcie do piekła”: „Wiele dialogów jest tu na poziomie wręcz grafomańskim, szczególnie w scenach lózkowych... Nawet dojrzy skądinąd aktorzy grają bez przekonania... A przy poetyckim dialogu graliby z przekonaniem? No a potem kłopoty z cenzurą, władzami szkolnymi...”

PO CO LUDZIE JEZDZĄ ZA GRANICĄ i to za służbowe pieniądze? Z rozmowy, jaką przedstawił „Ekspresu Poznańskiego” przeprowadził z pewnym dyrektorem od elektryczności wynika, że aby zobaczyć targ żon (przyszłych czy przeszłych?) w Calabarze i najnowszy model samochodu „Mercedes 220 S”, zjeść ośmiornicę smażoną na oleju, kupować widokówki i stwierdzić, że w Afryce jest cieplej niż u nas.

INTENCJA BYŁA DOBRA, a wyszło nieco makabrycznie. W nr 299 „Kurier Lubelskiego” przeczytaliśmy „Klub Przyjaciół Starszego Człowieka w Domu Kultury Kolejarska składa serdeczne podziękowanie... wykonawcom zespołu muzycznego SZKIELETY za bezinteresowny, bardzo miły występ... dla członków klubu”. Wersyły wszystkich zwłaszcza marsz pogrzebowy w wykonaniu SZKIELETÓW.

ŚWIĄTECZNY NUMER „Radia i Telewizji” zburzył całkowicie nasze szkolne pojęcia o rachunkach. Z notatki pod tytułem „Znów piraci” można się dowiedzieć, że dwa i pół miliona to liczba obiektywna, a 14 procent to liczba subiektywna. Jak widać i w rachunkach grasują piraci.

**TO TEATR ZRODZIŁ LITERATURĘ,** a nie literatura teatr — twierdził w dyskusji „Polityki” (nr 52) Adam Hanuszkiewicz. — Mówiąc prościej nie Irena Eichlerówna służy Lutowskiemu, tylko Lutowski pani Irenie. Na Jej sztukę przede wszystkim chodzimy do teatru, nie na sztukę Lutowskiego, z którą przecież i bez teatru można zapoznać się w „Dialogu”. Ale do tego oświadczenia dodajmy: a co w takim układzie z reżyserem, który w naszym współczesnym teatrze stał się dyktatorem, nie liczącym się ani z aktorem, ani z autorem, ani ze sztuką jednego czy drugiego?

**DO JEDNEJ Z LEŚNICZÓWEK** w woj. kieleckim przyjechała tzw. osobistość z Warszawy. Miejscowi uprzednio złapali dziką i przywiązał go za linkę do drzewa oraz przygotował odpowiednią porcję bigosu i krupnika. Osobistość strzeliła — dzik pocwałował do lasu. Okazało się bowiem, że osobistość przestrzeliła linkę. Sprawę zatuzszowano podrzuceniem zająca i dolaniem spirytusu do krupnika.

**BARDOZO LUBIMY EDYTĘ WOJTCZAK** z telewizji, a teraz podziwiamy szarmanckie postępowanie radomskich milicjantów. Gdy p. Edyta spóźniła się do Radomia na spotkanie w domu kultury „Waltera”, dyżurny na dworcu milicjant na własny koszt — jak twierdzi „Życie Radomskie” — wynajął taksówkę i odwiózł popularną spikerkę na miejsce. Mamy wątpliwości, czy p. Edyta — która zapewne pobrała honorarium za spotkanie, a w każdym razie zwrot kosztów podróży — powinna dopuścić do tego, aby milicjant płacił taksówkę ze swojej kieszeni.

**BIUROKRACJA ZACZYNA POZERAC** i amatorską działalność kulturalną. Lubuski Zespół Pieśni i Tańca od kandydatów na członków zespołu wymaga złożenia i podania, zyciorysu, opinii z zakładu pracy lub szkoły, z fotografii. Radomski zażądał jeszcze świadectw szczepienia ospy i tyfusu, bo a nuż kandydat zarazi członków!

**DLA odmiany fraszki.** Autor: p. Z. O. z Rzeszowa: O CNOCE  
Nie podawaj odgrzane danie  
Za święte śniadanie.

**KOMINIARSKIE HARAKIRI**  
Napisać wino  
i... wpaść do komina.

**SMIERĆ ZEGARMISTRZA**  
Miał słuchowego „konika”,  
Zmarł z myślą, że to zegar nie tyka.

**Wiersz bez tytułu p. F. B. z Jeleniej Góry:**  
Kobieta o złym profilu  
w podartym swetrze  
Dwaj kelnerzy przy samotnym łustrze  
a bufet bliskający kelnerką na białe  
(w czerwonych usiach)  
a ludzie wlojający o wódkę  
śpiewający rotę skwaśniała kapusta  
widzące wystrzone na epawym oku  
bez noża z chlebem pod piw na stojąco  
a potem kregi i widnokregi  
spirała wchodzić do domu  
a meble jakby zamarte stoją  
kwiat pelargonii rodzi nadzieję  
odsunąć w nogi czerwona koldre  
i cisnąć biały i tusty brzech żony

Wiosna 1963

**Na zakończenie liryka. „Grek” z Rzeszowa w towarzyszu pt.:**

**JESIEN**  
Jesień tręca  
z drzewa liść.  
Wspomnień Twoich  
zapisana  
treść.  
Husca mi  
pod nogi  
list.

# Ziemia i Pieśń

Rok III

Styczeń 1967

Nr 6

Sylwetki naszych twórców

## Władysław Laudąński poeta zaangażowany

ELŻBIETA ROSIAK

**W**LADYSŁAW Laudąński mieszka z dala od wielkich ośrodków miejskich. Zaszł się bowiem w Baranowie, pow. Szczytno, we wsi przez którą nie przebiega ani autobusowy ani kolejowy szlak komunikacyjny, w której nie ma światła elektrycznego, sklepu. Ale nie narzeka na los, mimo że niezbyt często uśmiechał się doń łaskawie. Trudne warunki nie przeszkodziły Laudąńskiemu w nawiązaniu dosyć szerokich kontaktów z życiem kulturalnym w Polsce. Współpracuje bowiem z takimi pismami jak: „Chłopska Droga”, „Głos Olsztyński”, „Życie Szkoły”, „Rodzina i Szkoła” i in. Jest członkiem grupy literackiej „Pojezierze” w Olsztynie, a także członkiem Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych w naszym mieście. Laudąński jest przykładem twórcy, który hołduje zasadzie, że jeśli chce się podzielić swymi przeżyciami nie tylko we własnym środowisku, ale i z szerszym gronem ludzi, to i na to znajdzie się rada. Pewnie, że przychodzi mu to trudniej niż tym, którzy mieszkają bliżej Warszawy, Krakowa czy Lublina. Ale trud związany z zamieszczaniem utworów na łamach pism centralnych daje mu głębsze zadowolenie wewnętrzne i poczucie pewności twórczej. Mimo lat, które dźwiga na barkach (urodzony 13 lutego 1899 r.) i inwalidztwa III stopnia, jest twórcą pełnym młodzieńczych zapaleń.

Lata młodzieńcze Laudąński spędził poza Polską. Z Sandomierza zawędrował aż do Symbirsk. Lata pierwszej wojny światowej i rewolucji w Rosji dane mu było przeżyć z bliską i chyba nie pozostało bez wpływu na jego osobowość. Już

jako uczeń gimnazjalny zaczął pisać wiersze w języku polskim i rosyjskim. Do Polski powrócił w 1924 r. i od 15 stycznia 1925 r. rozpoczął pracę pedagogiczną. Do wybuchu drugiej wojny światowej w piśmie „Naokoło Świata” zamieścił kilka wierszy i opowiadań. We wrześniu 1939 r. został zmobilizowany, brał udział w wojnie, a potem przebywał w Stalagu VI w Bathon w Westfalii. W kwietniu 1945 r. przystąpił do pracy pedagogicznej w ośrodku polskim w Reckenfeld w Westfalii. W 1946 r. powrócił do Polski, poświęcając się całkowicie pracy nauczycielskiej. Mimo uznania, jakie zdobył w Ministerstwie Oświaty i nęcących propozycji, doszedł do wniosku, że najlepiej odpowiada mu praca w środowisku wiejskim. Pracuje więc w Baranowie jako nauczyciel. Jest pedagogiem wnikliwym, z dużymi ambicjami. Skrętnie zebranymi problemami wychowawczymi dzieli się ze słuchaczami redakcji pedagogicznej Polskiego Radia w Warszawie i z redakcją polskich audycji radia moskiewskiego.

„Te kontakty — mówi — dla mnie są ostoją moralną i bodźcem do dalszej pracy (...). Główną moją pasją pisarską są wiersze obrazujące życie wiejskie, małomiasteczkowe, sympatie literackie i poglądy społeczno-polityczne”.

Stara się więc ukazać w swych utworach trud człowieka piszącego wiersze z potrzeby wewnętrznej dla dobra środowiska, w którym działa i tworzy, w wierszach poświęconych pisarzom ludowym szuka wzorca, określającego nowoczesnego twórcę, stawia mu wysokie wymagania problemowe i formalne — w myśl zasady, że poezja ludowa musi

się rozwijać, szukać nowych sposobów artystycznego wyrazu. Stąd płyną następujące wnioski: należy systematycznie dokształcać się, poznawać literaturę i brać za wzory najlepszych mistrzów słowa. Przestrzega jednak przed ślepym naśladowaniem, gdyż także pisarz ludowy nie może cofać się do problemów sprzed wieków, musi trzymać rękę na pulsie tego, co z dnem każdym podsuwa życie, słowem — powinien być poetą zaangażowanym. Czasem jednak w poezji Laudąńskiego zabrzmi nuta goryczy, ma on poczucie, że jest twórcą ludowym i chciałby, żeby jego utwory traktowano na serio a nie z przymrużeniem oka. Pisze wtedy:  
No cóż, moja muzo droga!  
Obcaś dla nich, za uboga,  
Siedzisz ze mną w wiejskiej dziurze,  
Tkwisz za słabo w koniunkturze!

Na szczęście ta nuta jest marginesowa w poezji Laudąńskiego. Szczególną uwagę w jego utworach zwraca wiersz „Do autorów orędzia”, w którym wyraźnie odgrada się od listu biskupów polskich, poznał bowiem smak niewoli niemieckiej, która pozostawiła w nim głębokie ślady psychiczne i fizyczne. Te indywidualne doznania okazały się silniejsze niż bezdyskusyjne prawdy wiary.

W poezji Laudąńskiego głęboki patriotyzm łączy się z właściwie rozumianym internacjonalizmem. W utworze „USA” autor nawiązuje do problemu wietnamskiego, w „Trzecim Zjeździe Partii” znajdujemy wypowiedź na tematy nam najbliższe, które będą miały wpływ na naszą pracę i warunki bytowania.

W dorobku poety są również fraszki. Wzorem jest tu twórczość Kochanowskiego. Laudąński z ściele pedagogicznym zacięciem zwraca się do czytelnika:

Młodość cię wiedzie, a chcesz być dorosły?  
Wiedz, doświadczenie to starośći posty.

Laudąński pisze również prozą. Obok artykułów o problematyce wychowawczej można odnaleźć i opowiadania nasycone tym samym elementem. Poza tym wiele pisze o walkach partyzanckich. Ta ciekawość dla zmagania się ludności polskiej z okupantem podyktowana jest zapewne tym, że autor pozostawał wówczas daleko poza okupacyjną rzeczywistością i nie mógł brać aktywnego udziału w walce.



Fot. A. Polakowski

WŁADYSŁAW  
LAUDAŃSKI

## Pisarz ludowy

Skromny, zaszyty gdzieś w leśnej głuszy,  
W chacie pod strzechą, w szkółce, w urzędzie,  
O jasną przyszłość wciąż kopie kruszy,  
Sprawy gromady mając na względzie.  
Najczęściej szkołą było mu życie,  
Noc okupacji i trud odnowy,  
Marzeniem drogim, żywionym skrycie —  
Spraw najzawilszych wątki, osnowy,  
Znaleźć, rozplątać, aby w potrzebie  
Gordyjskim cięciem węzłów nie smagać,  
Umieć poprzestać na skromnym chlebie,  
Wysiłki twórcze bez końca wznagać  
Tak, by dorównać, sprostać swej roli.  
Piewcy spragnionych słowa i rady  
O szarej prostej i chłopskiej doli,  
Bez patetycznej mównicy tyrady.  
Nie górnym, chmurnym, ale za wzorem  
Największych mistrzów ojczyźniej mowy.  
W zgodzie z tradycją, chłopskim humorem,  
Tak, jak potrafił pisarz ludowy.

## Każdy jest twórcą swego stylu w życiu

Każdy jest twórcą swego stylu w życiu  
Jeden wyniośle kroczy z miną drwiącą,  
Maskując zawód i ból swój w ukryciu,  
A inny z pasją namiętą, gorącą,  
Zdoła ocenić wir, który się kłębi,  
Wstrząsa sumieniem, oznajmia się echem.  
Sajgon, Hanoi — czyj lot jest gołębi?  
A kto swe konto znów obciąża grzechem?  
To kwestia stylu, tradycji, natchnienia,  
Postępu, wzoru, często koniunktury,  
Wszak w naszej erze wszystko się wciąż zmienia —  
Jest kwestią zasad lub kwestią kultury!  
I gdy się czasem w naszych oczach zdarzy,  
Że „w państwie ładu, prawa i porządku”  
Zbyt kulturalnie traktują zbrodniarzy,  
Bez trudu każdy doszuka się wątku,  
Gdy zakochany w starym pruskim drylu,  
W krzyżackich wzorach, które by znów wskrzesił,  
Ktoś mruknie: „Wszystko jest tu kwestią stylu”,  
A drugi tylko: „Sędziów bym powiesił!”

ZBYSZKO  
SŁAWIAN-ORLIŃSKI

## Z gałęzi śnieg opada

Śnieg zaściela polany,  
mrozem skrzypi pod butem.  
W jasny, słoneczny ranek  
wystrelili w zimę luty.

Ciepłe słońca promienie  
mróz spędzają do mroku.  
— Mkną Puszcza jakiegoś cienia!  
Las tętni głosem kroków...

W dali, na lasu skraju,  
gdzie Osuch pierwsze chaty,  
leśne kaemy grają!  
Sygnał wrzeszczy granatem!...

Chrust pod nogami trzeszczy,  
z gałęzi śnieg opada...  
— Brenia, w biegu szeleszcząc,  
mknie wilków gromada.

Walki zdalnej odgłosy,  
sł dodają biegowi!  
— Pędzą żołnierze „Osy”  
z pomocą „Sławianowi”...

Kraków

WANDA KOŚCIELNIAK  
CZUBERNATOWA

## Ej, popłakuje jo se...

Ej, popłakuje jo se,  
Ej, popłakuje z cicha,  
Ej, kaześ ty mój chłopce?  
Kaześ scynście moje?  
Ostawileś mnie haw...

Ostawileś samom,  
Jak owieczkę w holl,  
Jakos mom nie plakać,  
kie mnie serce boli?

Ostawileś samom  
i pewnieś zabocyl —  
Próżno wypatruje,  
wyplakuje ocy.

Ej, popłakuje jo se,  
Ej, popłakuje z cicha  
Ej, kaześ ty, mój chłopce?  
Kaześ scynście moje?  
Ostawileś mnie haw!

Rab Wyżna, pow. Nowy Targ

JAN POCEK

## nad moją kołyską

sady bogate w winie  
pełne szczygłów sikorek  
szumiały nad moją kołyką  
o świecie — srebrne,  
złote — wieczorem

I w głuchym mroku poddasza  
przy silnym skrzydeł łomocle  
kogut planiem północ ogłaszał  
nędszy cierpieniu i tęsknocie

I bochen razowego chleba  
jak lato jasny rumiany  
dziecicę słodką pieść śpiewał  
i wołał za okno na bezkresne

łany...

# „Ja teraz w Polsce chciałbym żyć przez wieki”

W ślad za publikowanym w poprzednim numerze „Ziemi i Pieśń” listem Janika z Bugaja do Katarzyny i Donata Lesiowskich, korzystając z uprzejmości Jerzego Krukowskiego ze Starachowic publikujemy dwa dalsze listy rzucające wiele światła na dzieje literatury ludowej w Polsce w okresie XX-lecia międzywojennego. Pierwszy list, adresowany do Katarzyny i Donata Lesiowskich, którego autorem jest (zmarły w bieżącym roku na emigracji) jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy i działaczy ludowych, współtwórca Związku Literatów Ludowych i jego organu „Wieś Jej Pieśń”, Wojciech Byczek-Breowicz — to prawdziwa spowiedź człowieka, którego jedynym celem życia była walka o dobro ludu, o lepszą przyszłość dla samorodnych twórców spod strzechy.

Trudno o bardziej autentyczną i wymowniejszą ocenę stosunków w Polsce przedwojennej, Polsce, która była dla wielu swoich najlepszych synów nie matką — jak chciał ją widzieć Breowicz — lecz macochą. A przecież mimo nędzy i pewności, że musi opuścić kraj, autor listu do ostatniej chwili z całym samozaparciem pracował, by już nie tyle sobie, co innym zapewnić lepsze perspektywy działania.

Drugi list, adresowany również do Katarzyny i Donata Lesiowskich, napisany został przez Stanisława Maniszewskiego, znanego pod pseudonimem „Stacha spod Wygietłowa”. Wartość tego dokumentu polega przede wszystkim na tym, że cytuję on dosłownie pełny tekst listu Wojciecha Breowicza, dotyczącego spraw związanych z organizacją Związku Literatów Ludowych.

Oba listy, dotychczas nie publikowane, stanowią dzisiaj cenne źródło wiedzy o dziejach polskiej literatury ludowej.

R. R.

Krosno, 2 VI 1933

**W**IELCE Drodzy Przyjaciele! Za mile listki oraz „Nasz Sztandar” i fotografie przyjmuję z serdecznym podziękowaniem. Drogie dla mnie pamiętki zachowam w szeregu najdroższych moich przyjaciół, do jakich i Was zaliczyłem.

„Naszego Sztandaru” jeszcze nie przeczytałem do tej chwili, bo dziś — oto — dźwignąłem się z wielką biedą po 3-dniowym leżeniu. Sam nie wiem, co mi było, względnie jeszcze jest. Odbiłem przedtem podróż do Osobnicy i z powrotem (= 70 km) piezo i to w dość szybkim tempie i sądzę, że to mnie zważyło. (Na wojnie człek z ciężarem na plecach tażył po 40—60 km na dobę — i nic.) Po przyjeździe trochę do sił (bo nic nie mogę jeść), będę czytał Wasze, Szanowne Druhu, dziełko i znów trza edwalać korespond., której zatrzymało się moc. Otrzymałem bowiem dotąd 52 zgłoszenia, a odpisałem dopiero coś na około 20. A każdy prosi o natychmiastowe informacje. Najgorsze to, że brak „nakładki” na znaczki pocztowe. Dopomaga mi w tym trochę Wł. Mirek (ps. „A. Olcha”) z Jordano-wa, świeżo upieczony nauczyciel, chłopak ubogi, zresztą b. zdolny pisarz i będzie zeń dla ludu pociecha, o ile pójdzie twardo swą drogą.

Nie dziwię się, Druheńko Lesiowska, memu pesymizmowi (ocenił mnie widocznie z poprzednich lat), bo robił go w mej duszy piekielny stan mego życia. Okres pesymizmu, raczej wielki optymizm z pesymizmem, przeżywałem czas dłuższy. Obecnie, choć nawet stosunki materialne są znacznie u mnie gorzej — pesymizm poszedł w duraki Okazało się, że ze zdobyciem hartu ducha utraciłem zdrowie fizyczne. Walczyłem długo po to, aby zdobyć jakąś możliwą arenę, na której by zaś mógł człek powalczyć jeszcze parę dni...

Wiary w zwycięstwo Dobra nad Złem nie traciłem nigdy, w najgorszych burzach nawet, choć

PIOTR KRZYKALSKI

## Przyjaźń

Krótko jest przyjaźń ludzko, nie wiążez nią zywota, rwie się, kurcy, rozlaż, lostaje z ni gorć biota.

Ledwo wietrzyk zawieje ciepłejzy z inny strony, pęko przyjaźń ze zgrzytem głośniejszym niż pierony.

Cęsto przyjaźń zwietrzeje, kężeńbie bez przycyny, ale to juz na starość, nie trzeba taki winić.

Nie powiem, tyz się zdarzy, że trwo przyjaźń do końca zywota, tako przyjaźń bliacy z promieniach słońca.

Nowy Sącz

z chwilą utraty wiary w „coś”, w jakąś wytyczną ideę — musiałaby przyjść była katastrofa. Wiara żyje lata, z wiarą walczyłem o Ojczyznę byt, z wiarą leżałem śmiertelnie prawie ranny — że zaś wrócę na front, by pierśią własną bronić Tej — co nie zginęła. I świadczę się Bogiem, że życie swe chcę nieść zawsze i wszędzie Tej — Matce — i Braci — ludziom...

Czytacie utwory moje lat ostatnich — przekonacie się, że z pesymistą stałem się „buntownikiem” przeciw wszystkiemu, co złe, podłe, bałamutne...

Wyrażacie, Szanowna Druheńko, życzenie, abym został w Ojczyźnie... Czytaliście mój wiersz dłuższy, druk w „Polskiej Prawdzie w Brazylii” pt „Emigranckie strofy”, oraz „Ostatnią pieśń na ojczyznę” — Chociaż jeszcze w Ojczyźnie jestem, a tyle rzewnych lez już wyłałem na myśl o nieuniknionej utracie Najdroższej Ojczyzny — Matki. Czuję w swej emigracji los (przymus) skazańca — banity... Ratunku nie ma! Zanim wszcząłem starania o wyjazd do Brazylii, prosiłem był przez lat kilka (gdzieś 1927—31) rząd polski o nadanie mi na spłaty kilkumorgowej działki ziemi gdzie bądź, byle na Ojczyźnie łonie, byle między bracią, dla której żyć chciałem. Prosiłem przez Pana Marsz. J. Piłsudskiego, przez P. Prezydenta Rplitej, przez Ministrów Rolnictwa, Oświecenia ect. (W M. W. Rel. i Ośw. Publ. znany jestem jako „poeta” czy „historyk” — choroba wiel, bo nawet dali mi nagrodę za przystąpienie się nauce polskiej przez pracę o Zamku Odrzykońskim ect.). I nie uzyskałem nic. Minist. odpowiadały, że to tu, to tam papiery poszły (to Okr. Urzędy Ziemskie ect.), że narazie kazali mi sobie kupić pole, a o żadnych spłatach ani dudu! Ja — jako sun chłopski, kocham ziemię i chciałbym tylko na Ojczyźnie łonie głowę umęczoną polożyć, w roli lubię i umiem pracować, chciałem zostać chłopem, na łonie natury żyć, bo biuro mię dusi, męczy (pracowałem w biurze lat kilka, to mi nie odpowiada, bo się buntuję przeciw poddaństwu szefów ect.) — niestety, przekleństwo jakieś, fatum zrząda inaczej...

Zona miała kolo 2 morg pola, ja — w Osobnicy — coś około 1/4 morgi — to nie jest sposób do życia, szczególnie dzisiaj, a tu z 2 dzialeczek, człowiek zestarzeje i dzieciom nie zapewni się jutro, a przecież te o życie nie prosily... Do reszty, o ile bym widział wyjątkową potrzebę zostania w Ojczyźnie, to bym został, konając z głodu, ale wiem, że jestem zwykłym śmiertelnikiem, jakich jest miliony, nie jestem niczym wyższym ponad swego brata umiętego czytać i pisać — zatem — gdy wyjadę — najmniejszej dziury nie zostanie po mnie, za kariery zaś nie lecę, nigdy o tym nie marzyłem, zawsze chciałem być jedynie równym obywatelem i uwagi na siebie nie zwracać — i na pewno z tym pójdę do mogiły.

Moich zapatrywań, charakteru i serca nie znacie, moi Drodzy

iem, ale go do poprawek wszyscy otrzymacie, będziemy służyć Ojczyźnie, Prawdzie i ludowi...

Zresztą Związek L. L. nie może absolutnie służyć żadnej partii politycznej, bo to nie wytrzymałoby próby życia — poeci stać muszą ponad partiami, a stać się stołcem dla Ludu całego i chwalić Ojczyznę! —  
Ale Wy, Drodzy Przyjaciele — Kachno i Donacie — weźcie się trochę do pracy, zabierzcie głos na łamach prasy ludowej, pukajcie też o pomoc materialną do ludzi uczciwych, jak np. aptekarz Koszka i Siewiera, ludzie białostoi, prawdziwi przyjaciele ludu!

Do partii nie pukajmy, żądajmy tylko pomieszczenia koresp. w sprawach Związku, bo dość mię dźwi, że cała prasa ludowa przedrukowuje moje artykuły i komunikaty w tej sprawie. Ja posyłam zazwyczaj do „Piasta” i proszę Was, prawie wszyscy zgłaszający się powołują się na ogłoszenia w „Piastie”, lub też w „Grudziądzkiej”, a jeden tylko Edward Cygan podał, że czytał w „N. K. Codz.” — A gdzież reszta prasy ludowej? („IKC” nie należy do nas). Pukajcie, powatażajcie komunikaty w prasie ludowej wszelkich odcieni, bo chodzi o to, by wszyscy nasi druhowie się zgłosili!

Mnie naprawdę brak na portu! Pamiętajcie, że Związek to rzecz z Wasza a nie moja! Więc Wy, światlejsi, pilnujcie, aby sprawę tę solidnie i szybko załatwić. Przez koresp. głosowanie wybierzcie się Zarząd i Komitet Red. i wtedy oddam Zarządową wszystko. Ale co jeszcze wymaga barki? Czy nie wstyd Wam, że to wszystko spada na moje słabe barki? Gdybym wiedział, że zgodzicie się choć odpisać kilkoma zgłoszonym, to bym Wam podał ich adresy. — Bądźcie tak dobrzy, Przyjaciele, i wyślijcie załączony list do Zuchary wraz z jego wierszem. Jest to biedny, początkujący poeta. Rozpisałem się, ale leć mi boli i kołecz. Przyjmijcie obywatel, Drodzy moi Przyjaciele, najserdeczniejsze pozdrowienia ode mnie i od żony.

Wasz — Breowicz

P.S. Nie myślałem nawet, że zdołam zapisać „tylko” 4 strony. Ale że dla Was — musiałem.

P. S. Podobna nasza robiona „na poczekaniu” do paszportu. Gdy będziemy mieli lepsze — pošlemy

Wygietłowa 21.IX.1933 r.

Szanowny druhu!

Otrzymałszy list od W. Breowicza przyczynam go w dostojnym odpisie, jak następuje:

„Ponieważ sprawa organizacyjna Związku Literatów Ludowych jest prawie na ukończeniu, przystępujemy obecnie do wyboru Zarządu i Redakcji. Zamierzam te władze mianować jako tymczasowe, zanim lista wyborcza dojdzie wszystkich. Chodzi o to, by kuć żelazo póki gorące, by władze nowe zaakceptowały Statut przez mnie ułożony, pobraly pieniądze od ofiarodawców i już zaczęły wydawać prace, wydając gazetę.

Podaję niżej projektowany przeze mnie skład osobowy władz: Janiek z Bugaja, Józef Kapuściński, Donat Lesiowski, Józef Morzycki, Piotr Palioda, Karol Macek, St. Rusinek, Stach spod Wygietłowa, Prof. dr. Fr. Bujak, dr. Michał Janik.

Czas mego wyjazdu zbliża się, chciałem jeszcze Związek wprowadzić na pewne tory. Proszę Was o natychmiastową odpowiedź w sprawie powyższej, czy się godzicie do władz i proszę o podanie treści powyższego Lesiowskiemu, który winien powiadomić St. Rusinka, kol. Starościna, p. Kamionka k. Lubartowa; niech zaraz odpiszą, bo ja nie mam już na znaczki, jestem bez chleba.

Sciskam dłoń

Wasz W. Breowicz — Krosno”

Czy Wy druho korespondowaliście z Breowiczem? W czasie, kiedy podjął się tak poważnej pracy, ma wyjeżdżać do Parany, czy coś o tym wiecie? Czy by się go nie dalo u nas utrzymać, dając mu jakieś zajęcie, by miał utrzymanie i kawałek chleba?

Napiszcie co o tej sprawie i w ogóle o naszych poczynaniach z uwagami o obecnym Związku Literatów Ludowych. Postaram się odwozajemnic. Cześć;

St. Maniszewski — Wygietłowa, p. Szczekociny, pow. kielecki.

WOJCIECH BREOWICZ

## Do Seweryna Skulskiego

Nocą, gdy palma wiatr kolebie I szum pinlorów gra przy chacie — Sni mi się biały list od Ciebie, Kawał Twej duszy ani się, Bracie!

Gdy coś tam w puszczy gra po nocy I drzące światło od gwiazd płynie — Zwracam twarz smutną ku Północy I myślę: — gdzieś Ty, Sewerynie?

Napisz, jak kiedyś — hej! — przed laty, Gdyś mi nie szczędził zdrowych wiersi, W których kwitnęły uczuć kwiaty I strofy pełne ważkiej treści!

Pisałeś z ziemi Washingtona O suternach — i drapaczach, O bezrobotnym, który konał I nad dziełarnią swą rozpaczal...

Pisałeś o tym ciełcu złotym, Co się przewala Wall Streetami I o biedactwie, co swym potem Karmi świat trutniów dołarami.

Lecz zawsze głosił zawołanie, Co się wyraża nowym świtem, Gdy z prochu nędzy Wielkość wstanie I wzniesie czerwień pod błękity!

A później — później, co za wiecei Z Polski Ludowej ślaleś stale O Słońcu pełnym nowej treści, O rzesz ludowych zwycięstw chwale.

O pracujących rąk zbratania, Które wielkowy ból uzdrawia, O wielkim ziemi zaoraną i O Nowych Hutach — i Wrocławiu!

O nowych stoczniach i okrętach, Co pod banderą z Orłem Białym Prują dalekich wód odmety I tworzą laury polskiej chwały!

O tym, co było i nie wróci, Jak trup nie wraca z grobów cieśni! Lud się nie będzie więcej smucił, Wszak sny wielkowie ucieleśniał...

Napisz mi, Drogie Sewerynie, Jak grzmią traktory w chłopskich dionach, Jak z fabryk dym nad Polską płynie I straż nad ODRĄ czuwa z bronią...

Parana 1.9.1933

SEWERYN SKULSKI

## List do Wojciecha Breowicza

Właśnie w tej chwili, kiedy ten list piszę, I w zadumie głowę kładę w dłoń. Za oknem znane znowu szmery słyszę — Ptaszek noclegu szuka w winogronie. Księżyc jest w pełni, wieczór taki śliczny, Ja teraz w Polsce chciałbym żyć przez wieki; Lecę myślami do mych dumek licznych, Tam namiętnych w obczyźnie dalekiej. Jestem spokojny. Tak też dookola Po zbiorze naszych tu spółdzielczych łanów, Bo żniwa teraz są w chłopskich stodolach, A chleb narodu, nie jak dawno — panów. Tak mi inaczej życie tutaj płynie, Chociaż pracuję jak i tam, nie leżę, Chłop nie głoduje przy uschłej szkaplinie, Bo jego traktor cztery skiby bierze. Tak, bracie, teraz w Polsce nasza ziemia, A miłość do niej rośnie w nas — milionach, Chociaż pogodnie i często chmur nie ma, Polska z kominów fabryk zamydiona. Jak w Ameryce jutro mnie nie straszy I czuję w sobie jakby młodzik młodość, Jak w Polsce miło przy skowronkach naszych I przy tych szumach starych wierzb nad wodą. Tak, drogi bracie, myślimy serc nie małych, Lecz żaden nie gra geniusza, obrzydła, Nas jedne losy we światy zagnaly, Obaj umiemy w rękach pióra trzymać. Chociaż nas pańska krzywda w świat zagnala, Z domów, wygnające losy rosząc łzami Przeto Polsce z sercami i miłością została, Głosząc kochanie Jej swymi rymami. Rymami braciom ścisłaliśmy pięście — Tym, którzy jak my tak wydziedziczeni, Głosząc, że jedna droga jest po szczęście — To droga walki pod znakiem czerwieni. I czekaliśmy, bracie Breowiczu, Choć małej iskry naszego dorobku I zapłonęły tej wolności znicze Dla byłych dziełek i byłych parobków. Serce mi pierś radością rozpięta, Jak w Polsce gmachy szkolne liczne wstają. A chłopcy służą nie Francom Kajzerom, Ani Piłsudskim, ani Mikolajom. Wiara i czynem bliski przyjacielu, Bo za krzywd wieki i niewoli ziemi Jestem szczęśliwszy od Ciebie o wiele. Bo patrzę na to oczami własnymi. Miło mi, jeśli tam bracia usłyszą, Treść tego listu, który Tobie składam, Ze my nad n-orzem, nad Odrą i Nysą Z bronią strzeżemy krzyżackiego gada. Chociaż nam obu głowy postwiały, Gdzialekowiek życia zagoniał nas fał, Spiewajmy dalej, jak dawno śpiewali, Polską Ojczyznę kochajmy tak daleki!

Karnkowo, pow. Lipno, woj. bydgoskie 11.1.1933